Nr. 275. Lwów — Piątek dnia 29 Listopada. Rok 1907.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 6 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h. w Niemczech . . . . . 3 „ — „ w innych Państwach . . 4 „ — „ Za zmianę adresu dopłaca się 40 h. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k. Numer kosztuje we Lwowie . . 6 h. na prowincyi . . . . . . 12 h. Numera z poprzednich dni po 20 hal.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, o znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

# PRZEGLĄD

## polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Schodnickiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.

Cena ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . h. W drobnych ogłoszeniach: tłustym petitem za każde słowo . . h. tłustym garmondem „ „ . h. koresp. prywatne „ „ . h. Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . . 60 h. Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k. Rękopismów Redakcya nie zwraca. Niefrankowanych listów nie przyjmuje.

Dziś: Pt. św. Saturnina M. | Macieja Ap. — Jutro: Sob. św. Andrzeja Ap. | Grzegorza B.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca o godz. 6 min. 57, Zachód „ „ 3 „ 28

Długość dnia godzin 8 min. 31. Ubyło dnia od wczoraj 2 min.



## „Wielkie dzieło kultury“.

Słowami, wypisanemi na czele niniejszych wierszy, nazwał kanclerz Bülow swój projekt przymusowego wywłaszczania Polaków z ziemi. W dalszym ciągu swej mowy rzekł, że ten projekt nie jest niczem nowem, bo konieczność wywłaszczania uznawali Fryderyk II. i Bismarck. Rzeczywiście, było na kogo się powoływać! Są to niewątpliwie największe powagi w rzeczach moralności, o czem świadczy następujący fakt historyczny: W r. 1775-tym Fryderyk II. zawarł z Rzeczpospolitą polską traktat, dotyczący ziem oderwanych od Polski podczas pierwszego rozbioru w r. 1772-gim. W tym traktacie zobowiązał się król pruski za siebie i swych następców, a poręczył sumieniem i królewskiem słowem, że nie naruszy praw osobistych, majątkowych i religijnych ludności polskiej. W cztery lata potem, mianowicie w rozkazie gabinetowym z 10. lipca 1779 roku pisał do prezydenta kamery bydgoskiej Domharda: „Als dann müsset Ihr darauf denken, in Westpreussen mehr kleine Familien und Büdner, auf den Fuss, wie es hier geschiehet aufm Lande anzusetzen: wozu wir den teutsche Leute aus dem Reiche nehmen wollen, soviel wir derer nur kriegen und unterbringen können. Damit wir das Pohlnsche Zeug mehr loswerden, und auch mehr teutsche Leute dorten hin kriegen“. Po polsku tak brzmi ta przestarzała niemczyzna: „Musisz pan pomyśleć o tem, aby osadzano w Prusach Zachodnich małe rodziny i chałupników, w taki sposób, jak się to tu dzieje; w tym celu zamierzamy z państwa naszego wziąć ludzi niemieckich, ile tylko dostać i umieścić możemy, ażebyśmy się hołoty polskiej cowięcej pozbyli, a coraz więcej ludzi niemieckich tam sprowadzili“.

Dotrzymując tak sumiennie królewskiego słowa, wydziedziczył Fryderyk II. wielu polskich ziemian, a na ich miejsce osadził do 70-ciu tysięcy kolonistów niemieckich na Szląsku, 15 tysięcy w Prusach Zachodnich i tyluż w Prusach Wschodnich. Miał słuszność Bismarck, gdy w sto lat potem powiedział w sejmie pruskim, że królewskie słowa nic nie są warte. Ma słuszność kanclerz Bülow, gdy przedstawiając teraz sejmowi swój rabusiowski pomysł, powołał się na powagę takich ludzi.

Ale oni byli mniej bezczelni, bo nie mówili, że tworzą „wielkie dzieło kultury“. Aby się domyśleć, dlaczego kanclerz użył tych doprawdy ubliżających niemieckiej etyce wyrazów, musimy zajrzeć do grubego tomu, który na wiosnę roku bieżącego wydała komisya kolonizacyjna pod tytułem „Denkschrift 20 Jahre deutscher Kulturarbeit“. Są tam piękne rysunki domów kolonistów, a obok nich — rysunki nędznych, odrapanych chałup polskich; są plany wzorowo urządzonych gospodarstw kolonistów i plany nędznych gospodarstw polskich. Kto widział nasze wioski poznańskie, ten z pewnością powie, że owe rysunki są fantastyczne. Są w owym tomie wyliczenia, ile przed dwudziestu latami było w miejscowościach rozkolonizowanych drzewek owocowych szos, bruków, wierconych studni, koni, bydła rogatego, nawet kur i kaczek, a ile tego wszystkiego jest teraz. Różnica rzeczywiście ogromna, postęp znakomity. Ale czyż dziwny? Nikt nie zaprzeczy, że takiej zmiany można było dokonać za 350 milionów marek, które wydała komisya kolonizacyjna. Za pieniądze można każdą chałupę przerobić na pałac. Lecz to nie jest robota kulturalna, jest zbytkiem, marnowaniem publicznego grosza, bo ta sztuczna przeróbka nie daje dochodu. Nietylko nigdy się nie zwróci włożony kapitał, nietylko nie daje on żadnego procentu, lecz jeszcze co roku trzeba dokładać 1,605.576 marek na utrzymanie urzędników komisyi.

O moralnej stronie pruskiej akcyi kolonizacyjnej mówić zbyteczna; jest ona potępiona przez cały świat, nawet przez Niemców nazwana haniebną. Ale czy przynajmniej racyonalna z ekonomicznego punktu widzenia? Wytworzyła ona stosunki sztuczne, zastąpiła niezawisłych obywateli czynszownikami rządu, do niewłaściwej miary podniosła cenę ziemi, stworzyła więc gmach, który przy lada niekorzystnych okolicznościach musi runąć. Czyniono to wszystko wrzekomo dlatego, że jest jakieś „polskie niebezpieczeństwo“ dla państwa. Jeżeli jest takie niebezpieczeństwo, to rozumiemy, że żadna ofiara nie jest za wielka, aby go uniknąć. Lecz gdzie ono? Wspomniane wyżej dzieło „Denkschrift 20 Jahre deutscher Kulturarbeit“ na 300 stronicach arkuszowego formatu dowodzi istnienia owego niebezpieczeństwa i dowieść nie może, więc ostatecznie tak kończy: „Es handelte sich um eine Anknüpfung an die Überlieferungen aus der Zeit des Grossen Kurfürsten, König Friedrich Wilhelms I. und Friedrichs des Grossen: schliesslich an die einstige Besiedelung des slavischen Volksbodens überhaupt“. A więc „ostatecznie chodzi o kolonizacyę ziemi ludu słowiańskiego wogóle“. O nic innego. Niebezpieczeństwo polskie jest zmyślonym postrachem. Gdyby istniało, jużby się przecież objawiło od czasów „wielkich kurfürstów“.

Kanclerz Bülow powiedział, że prawo przymusowego wywłaszczania jest potrzebne, bo kolonizacya, zbliżająca się do pomyślnego końca, może przepaść, ponieważ Polacy już nie sprzedają ziemi. Nie wiemy, kto tu kłamie: kanclerz, czy „Denkschrift 20 Jahre deutscher Kulturarbeit“. Kanclerz utrzymuje, że od Polaków już nie można kupić ziemi, a „Denkschrift“ podaje, iż w r. 1906-ym było 127-miu sprzedawczyków z grona obywatelstwa polskiego, a 362-ch sprzedawczyków z grona włościaństwa polskiego, ale komisya kupiła z licytacyi 8 folwarków i 11 chłopskich gospodarstw, a z wolnej ręki tych i tamtych nic. Dlaczego? Zapewne dlatego, aby mogła wołać, że Polacy nie sprzedają, więc trzeba prawa wywłaszczania.

Lecz jest jeszcze inna przyczyna, której się tylko domyślamy z półsłówek w publikacyach hakaty. Oto, widocznie chodzi o takie wywłaszczenia, aby miasta były otoczone pierścieniem posiadłości wyłącznie niemieckich i żeby się przez to prędzej niemczyły; chodzi jeszcze o to, aby szeroki pas ziemi wzdłuż granicy wschodniej należał tylko do Niemców. W ogóle chodzi o to, aby każda posiadłość polska, wielka, czy gminna, była wysepką, oblaną dokoła morzem niemieckiem, które z czasem już samo ją pochłonie. To jest widocznie cel nowej antipolskiej ustawy. „Ostatecznie — mówi „Denkschrift“ — chodzi o kolonizacyę ziemi ludu słowiańskiego w ogóle“, — o nic więcej. Co się stało z nadłabską słowiańszczyzną, to samo ma się stać z Wielkopolską.

To jest wielkie dzieło kultury!

Ale krzyżak bawi się jeszcze w „bezstronność“. Kanclerz użył tego wyrazu. Aby była bezstronność, będzie z łona hakaty wybrana „rada przyboczna“, która w każdym wypadku orzeknie kogo wywłaszczyć, a kogo nie. Bezstronność będzie posunięta jeszcze dalej, bo wolno będzie rekurować aż do samych ministrów. Co znaczy ta bezstronność? Może ma służyć jako zachęta do dobrowolnego germanizowania się polskich ziemian?

Wszystko przemawia za tem, że sejm pruski uchwali projekt rządowy. Wchodzi więc Wielkopolska w nowy okres swych męczeńskich dziejów, w najstraszniejszy okres neronowego prześladowania. Czy wytrwa, czy przemoże prześladowców? — nie wiemy, bo to nietylko od ludzi, ale i od Boga zależy. Ale to jedno wiemy, że trujący będzie chleb, który Prusy pieką sobie!

## Wrażenia petersburskie.

Piszą nam z Petersburga 23 listopada.

*(B)* Utknęła duma na adresie do tronu. Komisya adresowa pracuje od rana do wieczora. Składa się ona z 18-tu posłów: z sześciu członków prawicy, sześciu październikowców i sześciu opozycyonistów, do których zaliczono Polaków, kadetów, trudowików i innych lewiczan. Przewodniczy Guczkow, wódz październikowców i twórca ich sojuszu z prawicą. Sojusz ten ciągle się chwieje. Członkowie prawicy zażądali, aby adres zawierał wyrazy: „Nieograniczony monarcho!“ Nawet sam Guczkow uznał, że to będzie niestosowne w adresie parlamentu, który chce być prawodawczym, jakto wynika z ogłoszonego teraz programu najliczniejszej na prawicy partyi „umiarkowanych“. Ten program składa się z pięciu następujących punktów: 1) Zachowanie całości i jednolitości Rosyi, a energiczne zwalczanie wszelkich zabiegów o podział jej na prowincye autonomiczne; 2) Wzmocnienie legalności, porządku i praw własności; 3) Uznanie, że dla dobra Rosyi niezbędne jest przedstawicielstwo narodowe, jako instytucya prawodawcza; 4) Podniesienie dobrobytu włościan, polepszenie bytu duchowieństwa prawosławnego, obrona interesów stanu ziemiańskiego; wreszcie 5) Przedwczesność równouprawnienia żydów.

Skoro więc część prawicy głosi w swym programie, że duma powinna być prawodawczą i przez to samo nie uznaje samowładztwa monarchy, to cała prawica nie może żądać wstawienia do adresu wyrazów: „nieograniczony monarcho“, bo przestaje być stronnictwem zgodnem i dość silnem do przeprowadzenia swego żądania. Na prawicy są takie partye: „umiarkowanych“ 23, „prawych“ 90, Bałtów (niemieckich baronów) 8 — wszyscy ci są za dumą prawodawczą, dalej zaś: „monarchistów“ 44-ech, bessarabów 8 i prawdziwych Rosyan 33-ech, zatem wszystkich zwolenników dumy doradczej 85-ciu.

Lewica zaproponowała, aby w projekcie adresu, przedstawionym przez październikowców, wstawić zamiast wyrazów: „chcemy pracować nad odnowieniem ustroju państwowego“ wyrazy: „chcemy pracować nad zaprowadzeniem ustroju konstytucyjnego“.

Tak więc skrajna prawica zażądała osłabienia politycznej barwy adresu, a lewica domagała się jej wzmocnienia.

W głosowaniu obie poprawki odrzucono 11 głosami przeciw 18-tu. Kiedy jednak przyszło do głosowania nad projektem październikowców, odrzucono go także 12-tu głosami. Wobec tego kadet Milukow zaproponował, aby komisya wniosła do pełnej dumy wszystkie trzy projekty adresu: prawicy, środka i lewicy, a niech izba sama rozstrzyga, głosując w takim porządku: najpierw nad projektem środka, ponieważ on liczy najwięcej posłów (październikowców 129-ciu i sprzymierzonych z nimi prawiczan 121), następnie nad projektem skrajnej prawicy, liczącej 85-ciu posłów, a w końcu nad projektem 74-ech lewiczan, do których nie policzono 16-tu Polaków, 6-ciu muzułmanów i 16 socyalistów, ponieważ te trzy grupy nie wchodzą do żadnego związku. W tej propozycyi Milukowa dopatrzono się zasadzki, było bowiem prawdopodobne, że wszystkie trzy projekty upadną i będzie skandal. Znowu tedy zaczęły się kompromisowe układy. Guczkow zaproponował, żeby powiedziano, iż car jest samowładzcą, lecz rząd konstytucyjnym, ale potem cofnął wyraz o rządzie konstytucyjnym, albowiem tego wyrazu nie użyto dotąd w żadnym akcie prawodawczym; zalecił zastąpić go wyrazem „prawnopaństwowy“, dodał jednak, że podczas rozpraw w pełnej dumie październikowcy podkreślą, że wyraz „prawnopaństwowy“ ma dla nich znaczenie takie, jakie za granicą dają wyrazowi „konstytucyjny“. Dyskusya znowu się ożywiła i roznamiętniła. Podczas niej rzecznik polski oznajmił, że „Polacy, zdając sobie sprawę z realnych warunków i doniosłości chwili, postanowili nie wysuwać kwestyi autonomii, lecz ograniczyć się do żądania, aby do adresu wstawiono zdanie o „konieczności zaspokojenia słusznych potrzeb wszystkich w Rosyi narodowości“. Poprawkę tę odrzucono 11 głosami. Przeszedł tekst adresu zupełnie bezbarwny — i na tem się skończyły obrady komisyi. Za parę dni, kiedy się skończy namawianie posłów do głosowania za takim adresem, wniesiony on będzie do Izby.

*Przypisek Redakcyi.* Wczorajszy telegram doniósł, że adres już wniesiono do pełnej dumy i podał treść jego.

## Korespondencye.

**Wiedeń**, 27 listopada.

*(Akcya przeciw drożyźnie. — Zwołanie ankiety dla tej sprawy. — Minister Dr. Ebenhoch. — Niepowołani lekarze. — Zawieszenie wydawnictwa „Deutsche Zeitung“.*

(y) Bardzo doniosłą akcyę podejmuje rząd, a mianowicie akcyę, której celem jest stwierdzenie istotnych przyczyn obecnej nadzwyczajnej drożyzny środków żywności, tudzież obmyślenie najskuteczniejszych sposobów jej usunięcia. W sprawie tej odbędzie się w dniach 3 i 4-go grudnia br. w ministerstwie rolnictwa osobna ankieta, a do udziału w niej zaproszono oprócz wielkich gmin miejskich także przedstawicieli warstw konsumcyjnych, przedewszystkiem stowarzyszeń spożywczych, kuchni ludowych itp. czynników, będących w nieustannym kontakcie z praktycznem życiem. Ponieważ nowy minister rolnictwa Dr. Ebenhoch przywiązuje wielką wagę do tego, ażeby usłyszeć w tej sprawie także opinię pań, prowadzących gospodarstwa domowe, przeto zaproszono także wiedeńskie stowarzyszenie „Hausfrauenverein“ do wysłania swej przedstawicielki na tę ankietę. Wreszcie zaproszono także kilku przedstawicieli produkcyi rolniczej i handlu.

Kwestyonaryusz, wypracowany dla tej ankiety, obejmuje kilkanaście pytań, między innemi pytanie, jakie zarządzenia administracyjne należałoby przedsięwziąć, ażeby wywołać odpowiednie zniżenie ceny środków żywności, względnie przywrócenia sprawiedliwej proporcyi między cenami detalicznemi, pobieranemi w handlu a cenami, jakie otrzymają rolnicy za swe produkty, tudzież co w tej mierze powinien uczynić rząd, co zarządy komunalne, a co warstwy ludności bezpośrednio interesowane, względnie wyszła z ich łona korporacya i związki.

Minister rolnictwa dr. Ebenhoch, którego cała przeszłość polityczna i jego szlachetny sposób myślenia czynią go osobistością tak bardzo sympatyczną zarówno w warstwach ziemiańskich jak i wśród włościan i robotników, z prawdziwym zapałem zabiera się do tego trudnego dzieła i pragnie gorąco, aby ono wydało jak najrychlej pożądane owoce. Nie należy jednak żywić przesadnych nadziei, ani też wymagać cudów. Sprawa bowiem, o którą idzie, jest zanadto trudna i skomplikowana, ażeby można ją załatwić przy zielonym stoliku.

Należy przedewszystkiem liczyć się z tem, że obecna drożyzna środków żywności nie jest zjawiskiem lokalno austryackiem, lecz daje się we znaki w całej Europie. Socyalistyczni agitatorzy rzucają w masy niedorzeczne hasło, że tylko nowe cła ochronne są powodem teraźniejszej drożyzny, gdyby jednak rzecz miała się tak istotnie, w takim razie w Anglii, gdzie obowiązuje zasada zupełnie wolnego handlu, nie powinno być wcale drożyzny, a tymczasem daje się ona tam odczuwać tak samo jak w Austryi i w Niemczech.

Jako niezawodne lekarstwo na drożyznę, podają socyaliści otwarcie granic dla importu zagranicznego bydła, co byłoby równoznacznem z samobójstwem gospodarczem naszej monarchii. Tą kwestyą zajmie się niezawodnie gruntownie zebrać się mająca ankieta drożyźniana, a ponieważ prawdopodobnie składać się będzie z ludzi praktycznych, przeto uzna całą szkodliwość żądania socyalistycznych krzykaczy i niemożliwość jego spełnienia. Na otwarcie granic rumuńskiej i serbskiej nie zgodzą się Węgrzy pod żadnym warunkiem, zaś przez otwarcie granicy rosyjskiej wystawiłoby się całą hodowlę bydła w Przedlitawii, a przedewszystkiem w Galicyi, na największe niebezpieczeństwo. Wszystkim przecie powinno żywo stać jeszcze w pamięci, jak olbrzymie spustoszenia wyrządziła w ósmym dziesiątku lat ubiegłego stulecia zawlekana z Rosyi, pomimo całej kontroli weterynaryjnej, zaraza pyskowa i racicowa. Widzimy zresztą, że nawet Anglia nie pozwala na import żywego bydła, lecz każda sztuka bydła musi być zabita w stacyi wyładowania.

Doradzają także z wielu stron zezwolenie na import zagranicznych konserw mięsnych. Wszelako po ostatnich odkryciach niesłychanych nadużyć, popełnianych w rzeźniach i fabrykach trustu mięsnego w Chicago, nie znajdzie się chyba nikt, ktoby doradzał zezwolić na karmienie ludności Austryi konserwami mięsnemi ze Stanów Zjednoczonych. Co się zaś tyczy kanadyjskich i argentyńskich konserw mięsnych, to chyba trzebaby przed udzieleniem zezwolenia na ich sprowadzanie wysłać specyalnych delegatów do Ameryki, którzyby się naocznie przekonali o sposobie fabrykowania tych konserw. Na każdy sposób jednak coś przedsięwziąć należy koniecznie i dlatego też z ogromnem naprężeniem oczekuje ludność dalszego przebiegu wdrożonej przez rząd akcyi.

Z dniem wczorajszym przestał wychodzić tutejszy dziennik *Deutsche Zeitung*, wychodzący od roku 1871, a redakcya jego ogłasza, że wydawnictwo to zlewa się z wydawnictwem chrześcijańsko-socyalnej *Reichspost*. Trzydziestosześcioletnie dzieje upadłego właśnie dziennika odzwierciadlają poniekąd koleje, jakie przechodziła w tym czasie polityka Niemców w Austryi. Założona została *Deutsche Zeitung* w r. 1871 w czasie, gdy prąd tzw. „deutschnational“, zaczął dopiero się rozwijać i jemu też początkowo służyła. Wszelako już po paru latach przeszła do liberalnego obozu i stała się organem Herbsta i Plenera. Z początkiem lat ośmdziesiątych, gdy redakcyę objął Henryk Reschauer, wywiesiła *Deutsche Zeitung* znów narodowy sztandar i stała się organem krzykaczy narodowieckich w guście osławionego Knotza. Gdy jednak po Reschaurze stanęli na czele pisma izraelita Friedjung i Komorzyński, powróciło znów do liberalnego sztandaru. Z początkiem lat dziewięćdziesiątych nabyli *Deutsche*

---

3)

**Zofia Sawicka.**

## MODNIARKA LALEK.

(Ciąg dalszy).

A takie małe nic... Pakiecik zapomniany. Podany w rękawiczce koloru mahoniu.

Amatora miniaturek.

Artysty z powołania i geniusza bez teki.

Z natury trzpiota.

Z zawodu, młodzieńca trwoniącego sobie spokojnie majątek.

Ścigającego swe fantazye.

Mającego czasem napady sentymentalizmu. Czasem bawiącego się w modernistyczny bajronizm (kiedy się nudził albo po przepiciu).

Wygłaszającego okrągłe frazesy głosem wcale suggestywnym.

Trochę egoizmu, dużo lekkomyślności, ogromną intuicyę trafienia w ton właściwy, gdy szło o kobiety.

Dobry zresztą i ładny chłopak, byle go nie brać na seryo. Taki, co mówi sobie: Chwytam wrażenia, gdzie mi się podoba i pieszczę się niemi, dopóki mnie bawią. A w tem słówku „dopóki“ tkwi często tragedya serduszka wierzącego, które je przetłumaczy „na całe życie“.

Ładny zresztą i dobry chłopak, byle go nie brać na seryo. Właśnie jak stworzony do zawracania jasnych główek takich sobie małych modniarek z twarzyczką wypełzłej miniaturki *directoire*. Na drugi dzień rano, zastukał ktoś do drzwi Franusi. Otwiera, otulając szczelnie rozchylający się kaftaniczek. Posłaniec w niebieskiej, charakterystycznej bluzie, podaje jej wiązankę białych bzów wtulonych w żabocik blado lila bibułki. Z kieszeni dobywa liścik.

— Wysoko panienka mieszka. Aż człowiek dech traci. Schody jak drabina, ale za to bliżej do nieba.

Śmieje się głośno, jowialnie. Dobrą widać otrzymał zapłatę.

Franusia stoi olśniona.

Trzyma wiązankę bzu i tuli chłodne kwiatki do zarumienionej twarzyczki.

— Co to? ach! co to?

Dalszy ciąg snu wczorajszego.

Nie zbudzić się! Nie zbudzić...

Potem w jedyny swój, trochę nadtłuczony wazonik stawia ostrożnie kwiaty. Uśmiecha się słodko.

Liścik nie otwarty, jeszcze, jej słów nie potrzeba, ma przecież kwiaty.

Ale przeczyta, przeczyta.

Na długiej, wąskiej, ciemno-żółtej kopertce zagmatwanem pismem rzucony adres:

Do modniarki lalek.

Delikatnie odrywa wąskie pisemko, wyjmuje sztywny kartonik.

„Jeżeli pamięta pani jeszcze wczorajszego przybłędę, to proszę powiedzieć dzień dobry moim kwiatom i przyjąć je życzliwie“.

„Powinna pani lubić bzy, jak każda prawdziwa blondynka“.

„Nazywam się Leszek“.

„Ale nie ten Biały, o którym może pani słyszała, że kochał Goworka, ale tylko Leszek“.

Tylko Leszek! powtarza bezwiednie prawie.

Imię to przylgnęło do białych ścian pokoiku i wśród ciszy wieczornej szeptało coś o kwiatach, uśmiechach i szczęściu i miłości.

Tylko bzy schylały mdlejące główki, jakby już nie wierzyły ni słońcu ni wiośnie, wtulone w żabocik z blado liliowej bibułki. A Franusia stroiła lalki w różowe sukienki. Uśmiechała się do nich milutko i gładziła wyfryzowane główki, szepcząc pieszczotliwie: Moje laleczki, kochane laleczki, a potem jeszcze ciszej: Powinnyście lubić bzy, boście blondynki. A lalki otwierały jeszcze szerzej błyszczące oczy i wyciągały chciwie sztywne rączki do kwiatów.

Czy to do stroju także? Prędko, prędko, przypnij każdej z nas taką białą, powiewną gałązkę, podobną do pióra. Ale nie dostały ani jednego kwiatuszka, podobnego do białej gwiazdki.

Więc opuściły ramiona, niektóre pochyleniem głów ku sobie, powierzały sobie jakieś tajemnice. Czy o kwiatach, czy o modniarce? Jedna z nich osunęła się do stóp wazonika i zamknęła oczy. Usnęła czy zemdlała? Rozmarzył ją zapach bzu.

Franusia późno wieczorem jeszcze pochylała się nad białą wiązanką. Szukała „szczęścia“ zaklętego w pięciolistny kwiatuszek, ale go nie znalazła.

W białym to trudno, pocieszała się, ale było jej bardzo przykro.

Klęcząc przed wąskiem prawie dziecinnem łóżeczkiem, modliła się gorąco, aby nie była zabobonną.

* * *

A potem? Franusia dostawała kwiaty.

I spotykali się często.

Coraz częściej.

Były uśmiechy i spojrzenia, spojrzenia i uśmiechy.

Chwile milczenia pełne uroku.

Niedomówione słówka.

Niedociągnięte westchnienia.

Uściskiem złączone roztęsknione dłonie Uściskiem przeciągłym, z którego wysuwała się mała rączka, drżąca jak schwytany ptaszek.

Uściskiem przez rękawiczkę angielską.

Zostawiającą zapach Jockeyklubu.

I niezapomnianą rozkosz.

Którą unosi takie biedne dziewczątko jak skarb. I zamyka w serduszku i zasuwa na nią błękitne marzeń firanki.

I wierzy w szczęście.

A dalej?

Ognie bengalskie w duszy Leszka wtedy, kiedy biedna modniareczka z twarzyczką *directoire* w spojrzeniach i uśmiechach, oddawała mu swą niewinną duszę.

I słała mu pod stopy westchnienia.

I tęsknoty.

A on po tym białym, anielskim kobiercu deptał nieuważną, roztargnioną stopą, nie oglądając się za siebie.

Zostawiał głębokie niezatarte ślady.

Których nie zwieje ani kaprys przelotny.

Ani szał namiętności.

Ani pragnienie zmiany.

I pozostaną tak na wieki, krwawiąc się purpurą żalu, królewską.

Co wrasta w duszę rozbolałym kwiatem i więdnie tam powoli i usycha.

I staje się nareszcie tylko wspomnieniem.

Tylko, że na to czasem potrzeba całego długiego życia i powolnego konania nadziei.

A on poczynał się nudzić.

Autorefleksya mówiła mu: Czego ty do licha chcesz z tą twoją zwietrzałą sielanką, mieszkającą na poddaszu, odzianą w perkaliki.

U progu tej ckliwej naiwności nie będziesz przecież tak wzdychał bez końca. To zaczyna być śmieszne, a co gorzej nudne. Niema temperamentu i koniec.

Posadzić to na obrazku, z bladą centyfolią nad czołem i patrzeć. Basta.

A może lepiej, że niema temperamentu?

Lepiej zostawić ją w porę w spokoju wspomnieniom o babci, lalkom i wodnistym wierszykom, które recytuje sobie pewnie przy księżycu.

A hypokryzya giętkiego sumienia uśmiechała się pobożnie szepcząc:

Lepiej ponieść ofiarę a zostawić małą w spokoju. Przybrać pozę poświęcenia i urość w oczach własnych na bohatera. Bo — zabawka nudzić zaczyna.

Tak, Franusia nie miała temperamentu. Nie miała zalotności. Nie znała kaprysów tych kameleonów-szatanów, co zmiennością swą drażnią w nieskończoność, nie miała toalet o szeleszczących podszewkach, ani długich pachnących rękawiczek.

Miała szarą sukienkę i tkliwą kobiecość.

Nie wiedziała, że zabawa w miłość flirtem się nazywa. Nie umiała błyskami oczu, zagadkowym uśmiechem, gestem w pół drogi zerwanym, karmić arlekinady uczucia.

Nie miała temperamentu, ale płakać umiała. Nie umiała śmiać się rozkosznie, przeginając się w tył ruchem kotki, ale miała uśmiech promienny, co twarz rozjaśnia. Nie miała temperamentu! Nie działała na zmysły, tylko na duszę. A że dusza Leszka była lichym, rozstrojonym instrumentem, więc pod pieszczotą jej dziewiczego czucia, wydała tylko kilka przeciągłych o molowej intonacyi tonów, które powtarzały się w kółko, aż wysilone poczęły wydawać fałszywe dźwięki.

Wkradła mu się czarem swej cichej twarzyczki, do tego kącika wyobraźni, w którym składał akcesorya poetyczne życia. W kąciku tym jednak rozsiadła się szeroko próżność i egoizm zwycięzcy drapieżnika, co z poza kwiecistego parawaniku wychylał twarz łakomą. Nerwy grały tu rolę. Impresye sybaryty estety, ale nie czucie, nie afekt.

Dlatego powoli bladła mu sielanka, wiązał nibyto skrzydła fantazyi uczciwością.

Ale się nudził.

Jedno inne wrażenie błyskotliwsze, barwniejsze, a zamilkną dźwięki piosnki, pisanej na dwa głosy.

Tylko, że jeden z nich śpiewał fałszywie.

(Dokończenie nastąpi).

*Zeitung* bracia Auspitzer i wtedy stała się ona na wskróś masońską. W r. 1894 odkupił ją dr. Teodor Wähner i znów uczynił organem narodowym. Po śmierci Wähnera w r. 1901 przeszła *Deutsche Zeitung* na własność stronnictwa chrześcijańsko-socyalnego, które jednak widocznie nie przywiązuje już obecnie wielkiej wagi do dalszego jej posiadania, skoro pozwala jej upaść.

## Rada państwa.

**Wiedeń.** W dalszym ciągu swego przemówienia w komisyi ugodowej, prezydent ministrów bar. Beck wykazując szkody, jakie Węgry poniosą przez rozwiązanie wspólności bankowej i przez utworzenie osobnego Banku węgierskiego, wskazał na to, że także i Austrya ucierpiałaby na tem nieprzepolicie. Bądź co bądź jednak Austrya przebyłaby to przesilenie lżej, aniżeli Węgry. Co się tyczy samej możności utworzenia samoistnych banków, to nie ulega ona kwestyi, gdyż jest wyraźnie zawartą w ustawie. Prezydent ministrów jednakże podnosi, że byłoby błędem taktycznym rozwiązywać sytuacyę w ten sposób, żeby się uczyniło żądanie Węgrów żądaniem Austryi.

Przeciwnie, Austrya w razie domagania się ze strony Węgier rozdziału banku, powinna za spełnienie tego żądania domagać się ustępstw dla siebie. Prezydent ministrów zaznacza, że słusznem jest twierdzenie, iż w razie rozdziału banku trzeba liczyć się także z różnicą wartości obu walut. Prezydent ministrów wskazuje na ankietę w tej mierze odbytą i oświadcza, że oba rządy na podstawie wymiany zdań doszły do następującej umowy, którą tu dosłownie powtarzam:

„Gdyby z jakiegokolwiek powodu istniejący przywilej austro-węgierskiego Banku nie został na przeciąg ważności traktatu w sprawie uregulowania obopólnych stosunków handlowych odnowiony, to oba rządy przed nowem uformowaniem się Banku mającego prawo wystawiania banknotów porozumieją się co do sposobu, w jaki można zapewnić wykonanie postanowień traktatu w sprawie uregulowania wzajemnych stosunków handlowych, a zwłaszcza zapobiedz temu, aby skutki, wynikające z ewentualnej różnicy wartości pieniędzy, tamowały ruch swobodnego obrotu obu państw".

Prezydent ministrów zaznacza, że nie ma żadnej wątpliwości, iż specyalne postanowienie, o ile chodzi o zabezpieczenie waluty, w jakiej wypłaty mają być czynione, musi być zastosowane także do ugody „blokowej".

P. Kolischer oświadczył się przeciw podjęciu wypłat w gotówce. Nawet za cenę wspólnego banku rząd austryacki nie powinien na to się zgodzić. Mówca ubolewa, że sprawy bankowej nie uregulowano ostatecznie w ustawie ugodowej.

Minister skarbu dr. Korytowski zwraca się przedewszystkiem przeciw przedstawianiu stosunków węgierskich w tak ponurych barwach i prosi, aby ze względu na to, że wraz z Węgrami tworzymy wspólną monarchię stosunków węgierskich nie malowano tak czarnemi barwami.

W sprawie lokowania kapitałów austryackich Kas oszczędności w papierach węgierskich podnosi, że przy tak ważnym i doniosłym traktacie wzajemne koncesye są konieczne. Obawy, że wszystkie pieniądze z naszych Kas oszczędności, z powodu niższego kursu papierów węgierskich, lokowane będą w przyszłości w rentach węgierskich, minister dlatego nie podziela, że co do Kas oszczędności istnieje zasada, iż nie mogą całego swego kapitału lokować w jednych i tych samych papierach.

Co się tyczy podjęcia wypłat w gotówce, to chwila wejścia w życie tych wypłat nie jest tak bliską. Panujące dziś na targu pieniężnym stosunki wykazały, jak dobrześmy zrobili, żeśmy wypłat w gotówce nie uchwalili. W tym kierunku obawy p. Kolischera nie są aktualne.

Następnie omawiał minister myśl poruszoną przez p. Ploja, aby kupony renty złotej zostały dopuszczone do opłat celnych i oświadcza, że pomimo tego, iż z myślą p. Ploja się godzi, musi podnieść poważne wątpliwości, czy w razie wprowadzenia tej myśli w życie, można by było spodziewać jakichś praktycznych rezultatów.

Komisya po dalszych obradach przyjęła dalsze artykuły ugody.

**Wiedeń.** Na wczorajszem posiedzeniu komisyi legitymacyjnej p. Wityk przedstawił list niejakiego dr. Landaua z Gródka, który żali się, że starostwo, dowiedziawszy się, że on udzielał p. Witykowi informacyj co do wyboru hr. Dzieduszyckiego, rozwiązało tamtejszą Kasę chorych, mianowało komisarza rządowego, a dr. Landaua usunęło z posady lekarza Kasy chorych. P. Wityk piętnuje ten fakt i prosi komisyę o zarządzenie odpowiednich kroków.

P. Diamand wnosi, aby komisya zwróciła się do ministra spraw wewnętrznych br. Bienertha, ewentualnie do prezydenta gabinetu br. Becka z żądaniem, by zarządzili w tej sprawie dochodzenia.

W ciągu dyskusyi jeden z posłów mówiąc o tej sprawie, podniósł, iż są to *Galizische Manieren*.

P. Małachowski, zabrawszy głos, oświadczył, iż w zasadzie zgadza się na przeprowadzenie dochodzeń, jakich żąda w swym wniosku dr. Diamand, ale pragnie, by dochodzenia te wykazały, czy przy tem zarządzeniu starostwa zemsta w istocie odgrywała rolę, czy też były inne motywy, które skłoniły starostwo do uwolnienia dr. Landaua z posady lekarza Kasy chorych. Mówca podniósł dalej, iż prezes Koła polskiego w swem przemówieniu wstępnem najwyraźniej zastrzegł się, iż Koło polskie domagać się będzie od władz jednolitego i sprawiedliwego traktowania wszystkich obywateli. Oświadcza przeto, że za pośrednictwem prezydyum Koła polskiego zwróci się do namiestnika Galicyi z prośbą, by jak najrychlej i najdokładniej sprawę tę zbadał. Mówca atoli musi z całą energią zaprotestować przeciw temu, by to ewentualne nadużycie jakiegoś urzędnika piętnowano jako „maniery galicyjskie".

Wniosek dr. Diamanda przyjęto.

# KRONIKA.

Lwów 28 listopada.

**Sejm** — według obiegających pogłosek — ma być zwołany na 17 grudnia.

**P. Adam Łada Bieńkowski**, znakomity dziennikarz-publicysta, założyciel lwowskiej filii Biura korespondencyjnego, a którego przed kilku laty powołano do Wiednia na stanowisko sekretarza w prezydyum Rady ministrów, został teraz zamianowany radzcą sekcyjnym. Awans ten jest zupełnie zasłużony, bo p. Bieńkowski jest niezaprzeczenie jednym z najzdolniejszych, najpracowitszych i najsumienniejszych urzędników, a przytem, jako Polak, nigdy nie zapomina o ciężących na nim obowiązkach, i w Wiedniu, w kolonii polskiej, odgrywa jedną z bardzo wybitnych ról.

Przed wstąpieniem do służby rządowej zajmował p. Bieńkowski bardzo wybitne stanowisko w świecie dziennikarskim lwowskim, a jego prace zarówno publicystyczne jak i fachowe zamieszczane w dziennikach i czasopismach lwowskich cieszyły się zawsze wielkiem uznaniem.

**Mianowania** Starsi radzcy skarbowi, posiadający tytuł i charakter radzców dworu, pp.: Walery Olszewski, Tadeusz Klusik-Orzechowski i Fryderyk Rieman, zamianowani zostali rzeczywistymi radzcami dworu.

Radzcami wyższego sądu krajowego mianowani radzcy sądów krajowych: Zdzisław Katyński w Krakowie, Edward Mally, naczelnik sądu powiatowego w Makowie, Wojciech Wiatr w Tarnowie.

Cesarz nadał radzcy sądu krajowego i naczelnikowi sądu powiatowego w Kętach Aleksandrowi Fijałkiewiczowi tytuł i charakter radzcy wyższego sądu krajowego

**„Spekulanci ideowi".** Pod takim tytułem wygłosi w sali ratuszowej we środę, dnia 4-ego grudnia o godzinie 7-mej wieczorem odczyt, zaszczytnie znana autorka i publicystka, pisująca pod pseudonimem „Jan Miodoborski".

**Nabożeństwo żałobne** za poległych w powstaniu listopadowem, odbędzie się jutro, to jest w piątek o godzinie 11-ej przed południem w kościele Archikatedralnym. Mszę św. odprawi i kazanie wygłosi x. biskup Bandurski.

**Konkurs na trzy posagi** po 570 koron, z fundacyi posagowej ś. p. Maksymiliana i Franciszka Ksawerego Siemianowskich, rozpisuje Wydział krajowy. Posagi przeznaczone są dla biednych, moralnie się prowadzących dziewcząt, sierót po mieszczanach wszystkich miast galicyjskich, z wyjątkiem Lwowa i Krakowa, rel. rz. kat., które skończyły 17 lat, a nie przekroczyły 24 roku życia. Podania o dopuszczenie do losowania tych posagów należy wnieść najpóźniej do 28 lutego 1908 r.

**Ulica 29 listopada.** Pan Paszkudzki, mający dworek na tej ulicy, postanowił ją uczynić głośną w całem mieście i w tym celu urządza jutro wieczorem, spacer po niej na cześć powstania 1831 roku. W ten sposób nikt jeszcze zapewne nie obchodził powstania listopadowego.

Wzywa on do tego spaceru publiczność odezwą, którą tu dosłownie cytujemy:

„Organizacya narodowa VI okręgu miasta Lwowa urządza w piątek dnia 29 listopada uroczysty pochód wzdłuż ulicy 29 Listopada (tam i napowrót) ku uczczeniu powstania listopadowego. Program: przemówienia, muzyka towarzysząca pochodowi, chóry. Punkt zborny u dolnego wylotu ulicy 29 listopada (obok Nr. 2). Początek punktualnie o godzinie 7. Stan pogody nie wpłynie na program. Nad porządkiem czuwać będą gospodarze wyznaczeni przez Organizacyę narodową, którym raczy publiczność bezwzględnie dać się powodować. Uczestnicy pochodu po powrocie do dolnego wylotu ulicy 29 listopada bezwarunkowo mają się rozejść"

**Świetny rządzca.** W Krakowie toczy się teraz proces karny przeciw niejakiemu p. Bladowskiemu, który był rządzcą u państwa Osiecimskich. Cieszył się on zupełnem ich zaufaniem, nie był kontrolowany, więc pomału i stopniowo przywłaszczał sobie coraz większe kwoty, aż wreszcie okazał się deficyt, wynoszący przeszło 20 tysięcy koron. Nastąpił moment krytyczny, groźba zawiadomienia prokuratoryi z jednej strony, błagania i przeprosiny z drugiej i wreszcie przyrzeczenia solenne i uroczyste i ustne i na piśmie, że cała kwota zostanie zwrócona. P. Osiecimski nie chciał gubić żonatego i dzietnego człowieka i przystał na to przyrzeczenie. Wtedy p Bladowski począł pod rozmaitymi pretekstami prosić o pożyczenie mu ksiąg gospodarskich z lat swego zarządu. Nie widziano powodu, dla którego mianoby mu odmówić. On te księgi brał do domu, nadzwyczaj zręcznie przemieniał cyfry, dopisywał pozycye, wykreślał inne i tak manipulował, że po kilku miesiącach zawiadomił państwa Osiecimskich, iż on cofa przyrzeczenie zwrotu 20.000 koron, gdyż przeciwnie ma zamiar wytoczyć im proces o 11.000 koron, należnych jemu od nich. Przerażeni tem twierdzeniem, zaglądają oni do książek i przekonują się, że tam są teraz zupełnie inne cyfry. Oddali więc sprawę prokuratoryi państwa.

**Wstrętny koncept.** *Naprzód*, organ socyalistów krakowskich, rozpisuje składkę na fundusz agitacyjny dla przeprowadzenia Daszyńskiego na Szląsku, a tytuł tej składce daje: „Na sznurek dla Wojciecha hr. Dzieduszyckiego".

**Samobójstwo.** W mieszkaniu pewnego inżyniera przy ul. Supińskiego l. 1 obwiesił się na haku od lampy służący, mężczyzna 21-letni, pochodzący z Rosyi, nazwiskiem Michał Schneider. Był on zbiegiem wojskowym. Do samobójstwa popchnęła go nostaglia.

**O strasznym dramacie życiowym** donoszą pisma amerykańskie. Oto w New Rochelle młoda, elegancka i bardzo piękna pani Smith zastrzeliła męża podczas gdy on spał, potem rozlawszy naftę, podpaliła sypialny pokój i w końcu strzeliła do siebie w celu samobójczym. Dzięki szybkiemu ratunkowi mieszkańców tej samej kamienicy i straży ogniowej, udało się pożar ugasić, a wtedy okazało się, że p. Smith już nie żyje, zaś pani Smith ma wcale nie groźną ranę od kuli, która przeszła obok serca, ale tyle ma oparzelin na ciele, że uratować jej niepodobna. Poczęto ją pytać o powody tego dramatu, a ona umierającym głosem wyznała, że zamordowała męża i siebie zabić chciała dlatego, iż przeżyć nie mogła kompromitacyi, która ją czekała.

Na wiosnę b. r. wyszła ona za mąż za swego męża, wmówiwszy w niego, że jest córką p. Wilhelma Bunckeley, gubernatora stanu Connecticut, że jednak poróżniła się z ojcem i z resztą rodziny i dlatego u niego nie bywa, ani go i nikogo ze swoich na ślub nie zaprasza. Ponieważ jednak jest jedną z jego sześciu córek, przeto będzie partycypowała po jego śmierci w spadku po nim i według obliczenia przybliżonego przypadnie na nią przeszło sześć milionów dolarów. Tymczasem naprawdę nie była ona wcale córką tego gubernatora, a tylko imienniczką. Mówiła zaś to wszystko swojemu narzeczonemu, a potem mężowi, dlatego, iż wiedziała, że on, pomimo, iż ją szalenie kocha, jest tak zaszargany w interesach, że bez widoku na wielki posag nie będzie mógł się z nią ożenić. Nie przypuszczała ona, że gubernator tak prędko umrze, więc myślała, że pomału mąż jej wyłabuda się ze złych interesów, a wtedy ona stopniowo zacznie go oswajać ze swojem kłamstwem. Tymczasem zaledwie sześć miesięcy minęło od ich ślubu, aż tu gubernator umarł i naturalnie nadeszła ta krytyczna chwila, w której musiało się wykryć jej kłamstwo. „Nie mogłam przeżyć tego — mówiła — że mąż byłby mną pogardzał i może nawet mnie porzucił, a w każdym razie znalazłby się w strasznej rozpaczy, gdyby się dowiedział, że ma nóż na gardle i hańbę u progu, on, który cały dzień dzisiejszy tak się cieszył, że za parę już dni wejdziemy w posiadanie spadku po gubernatorze. Jeszcze dziś przy kolacyi obliczał, że na część moją wypadnie 6 250.000 dolarów, a ja od zmysłów odchodziłam z bólu, bo ja go także szalenie kochałam. Z radości, że już wyjdzie z kłopotów i strasznie zawikłanych interesów, mąż mój wypił więcej niż zwykle podczas kolacyi, a gdy położył się i mocno zasnął, przyszła mi myśl zamordowania jego i siebie.

W godzinę po tem zeznaniu biedna kobieta w strasznych męczarniach skonała. Życie daje więc powikłania dramatyczne o wiele potężniejsze od tych, jakie wymyślają dramaturgowie.

**Nagroda Nobla** ma być w tym roku przyznana w dziale chemicznym Wilhelmowi Crookesowi. Jestto staruszek, dziś już prawie 80-letni, ale ogromnie zasłużony na polu chemicznem, gdyż przez całą drugą połowę XIX stulecia niemal co roku ogłaszał jakieś odkrycie naukowe. On też jest twórcą tej teoryi, która dzisiaj stanowi podstawę filozofii przyrodniczej, a według której materya istnieje nie w trzech, jak mniemano dotychczas, ale w czterech stanach. Trzy z tych stanów znamy dobrze i dlatego mają one nazwę. Są to stany: stały, płynny i lotny (czyli gazowy). Za tym gazowym przychodzi stan czwarty, który Crooks nazwał promienistym, którego w zwykłych warunkach nie widzimy, ale do którego jednak nauka dotarła i u którego progu stoi słynny pierwiastek rad. W tym promienistym stanie materya jest prawdopodobnie nie podzielona na pierwiastki chemiczne, a jeżeli podzielona, to na jakąś niewielką ich liczbę. Dawniej nazywano ten stan eterem, ale nie umiano dać żadnej definicyi dla tego eteru. Chemicy bieżącego stulecia dołożą zapewne starań do tego, żeby zbadać przymioty materyi znajdującej się w czwartym stanie i stworzyć dla niej definicyę.

**Temperatura** dnia 26 listopada o godz. 7-ej rano wynosiła: w Galicyi zachodniej —6, we Lwowie —1, w Tarnopolu — 3, w Czerniowcach — 2, w Wiedniu —1, w Salcburgu + 1, w Gracu — 5, w Pradze 0, w Tryeście +4, w Abbazyi + 5, w Raguzie + 10, w Budapeszcie 0, w Berlinie +1, w Hamburgu + 2, w Monachium + 1. w Zurychu + 5, w Genewie +4 w Lugano + 1, w Anglii + 4, w Paryżu +11, w Biarritz + 13, w Nizzy + 6, w północnych Włoszech 0, we Florencyi + 2, w Rzymie + 3, w Neapolu + 9, w Palermo + 11, w Madrycie +10, w Sztokholmie — 7, w Petersburgu 0, w Wilnie — 5, w Warszawie —5, w Moskwie — 19, w Kijowie — 8, w Odessie — 1, w Serajewie + 1, w Belgradzie + 2, w Bukareszcie — 3, w Sofii + 6, w Konstantynopolu + 8, w Atenach + 13. (Temperatura według Celsiusza).

**Stan powietrza.** T. o godz. 7 rano + 3 R. w poł. + 6 R. Bar. 771. Podnosi się. Piękna pogoda.

**Ludzie, którzy się znają.**

Złoty młodzieniec wchodzi do biura bankiera.

— Panie! — zaczyna gogo — kocham pańską córkę i proszę o jej rękę...

— Hm! (mruczy milioner namyślając się), a jakież są pańskie najprzystępniejsze warunki?

# Widowiska i koncerty.

**Repertuar teatru miejskiego we Lwowie.** Dziś: „Traviata," opera J. Verdiego. — W piątek „Szkoła" Z. Kaweckiego. — W sobotę popołudniu „Lilla Weneda;" wieczorem „Opowieści Hoffmana". — W niedzielę popołudniu „Ich czworo" G. Zapolskiej; wieczorem „Wesoła wdówka". — W poniedziałek „Szkoła". — We wtorek „Aida," opera Verdiego, występ Łucyi Weidt, nadwornej śpiewaczki opery wiedeńskiej, i Giacomo Rawnera, tenora opery „La Scala" w Medyolanie.—We środę „Szkoła".— We czwartek „Faust," opera Gounoda, występ G. Rawnera i I. Bohuss w partyi Małgorzaty.—W piątek „Szkoła"—W sobotę popoł. „Królowa Tatr" fantastyczne widowisko ze śpiewami i tańcami w 5 aktach Ad. Walewskiego. — W sobotę wieczór „Żydówka", opera Halevyego, występ Wandy Otto i p. Giacomo Rawnera — W niedzielę popołudniu „Cyrano de Bergerac" Rostanda. — W niedzielę wieczór „Wesoła wdówka". — W poniedziałek po raz pierwszy „Cenzor moralności", komedya w 3 aktach Ignacego Nikorowicza. — We wtorek „Trubadur", opera Verdi'ego, występ Wandy Otto i Giacomo Rawnera.

**Z Filharmonii.** W poniedziałek dnia 2 grudnia odbędzie się koncert Łucyi Weidt. Jest to niezwykłe zjawisko, ażeby w tak krótkim czasie i młodym wieku otrzymać zaszczytny tytuł nadwornej śpiewaczki. Zawdzięcza to Ł. Weidt nietylko pięknemu głosowi, świetnej szkole i niezwykle sympatycznej i imponującej powierzchowności, ale i świetnemu ustawieniu głosu, który z największą łatwością przechodzi od najwyższego sopranu do najniższego mezzosopranu, co w operach bardzo pożądane, a na koncertach z powodu swej niezwykłości zajmujące.

**„The Empire Vio"** dzisiaj i codziennie przedstawienie kinematograficzne o godz. 7½ w sali Belle-Vue przy ul. Karola Ludwika.

**Repertuar teatru miejskiego w Krakowie.** We czwartek „Narzeczona w depozycie"; w piątek „Kordyan" J. Słowackiego; w sobotę „Ich czworo" G. Zapolskiej; w niedzielę popołudniu „Zażarty automobilista," krotochwila; wieczorem „Ich czworo",

**Colosseum Hermanów** od 16-go listopada. *Spalenie indyjskiej wdowy*, poemat taneczny, wykona Saffira Pradyaik i Segen Neville.—*„Jou-jou,"* groteska w 1 akcie. — *The Hinode*, cesarscy nadworni artyści japońscy. — *Trupa Gorbunoff*, rosyjscy śpiewacy i tancerze. — *Sigrid i Alfred Naess*, mistrzowscy łyżwiarze. — *Vitograph*, sensacyjne nowe obrazy. — 10 nowych atrakcyj! — W niedziele i święta dwa przedstawienia: o godz. 4-tej i 8-mej.

# Literatura i sztuka.

**Z teatru.** Wczoraj wystawiono w teatrze miejskim „Szkołę", czteroaktową sztukę p. Zygmunta Kaweckiego, która — jak Czytelnikom naszym wiadomo — miała już wielkie powodzenie na scenie warszawskiej i krakowskiej. Chcąc rzecz tę ocenić sprawiedliwie, należy zupełnie odrębnie traktować jej stronę literacką, a osobno jej tendencyę. Jako utwór literacki, zasługuje „Szkoła" na wielkie pochwały i na rzetelne powodzenie. Wykazuje ona znakomity zmysł obserwacyjny autora, olbrzymi temperament, posiada śmiałość i oryginalność w tworzeniu sytuacyj, żywy dyalog, przykuwa do siebie widza w każdym szczególe, pełna jest brawury scenicznej w tworzeniu nader licznych scen zbiorowych i osnuta jest na temacie nietylko silnym i aktualnym, ale niezwykle sympatycznym, o ile o młodzież chodzi, a ogromnie żywo każdego obchodzącym, jeżeli chodzi o stosunek tej młodzieży do szkoły. Słowem jako rzecz literacka jest to utwór wielkiego talentu, uposażony w te wszystkie zalety, które zdolne są wstępnym bojem podbić publiczność i zapewnić sztuce trwałe powodzenie. Pragnąć należy, abyśmy dzieł tak dużego talentu jak najwięcej mieli w literaturze i na scenie; wtedy serdecznie moglibyśmy się cieszyć z rozwoju naszej sztuki dramatycznej.

Z tym samym jednak zachwytem o tendencyi sztuki wyrazić się niepodobna. W tendencyi sztuki zawiódł p. Kaweckiego na drogę niewłaściwą ten czynnik, który decydującym jest dla duszy każdego szczerego artysty, jakim bezwątpienia jest autor „Szkoły". Oto w obranym przez siebie temacie znalazł on trzy przedmioty, a wraz z nimi trzy stanowiska. Wybierać musiał, na którem z nich ma stanąć. Pierwszem z nich byłoby abstrakcyjne, ale zarazem najwięcej objektywne stanowisko samej szkoły jako takiej, niekoniecznie określonego systemu wychowania, ale wychowania wogóle. Z tego stanowiska mógł autor bezstronnie ustawić w stosownej perspektywie i młodzież i jej wychowawców. Takie jednak stanowisko doprowadziłoby go do rozprawy naukowej a nie do żywego, pełnego temperamentu utworu literackiego. Jako więc literat przedewszystkiem — pominął on oczywiście to stanowisko. Drugiem stanowiskiem byłoby rozpatrzenie kwestyi szkoły ze stanowiska jej realnych wyrazicieli, to jest profesorów.

Na tem stanowisku nie mógł autor stanąć, gdyż przeciw niemu właśnie chciał obrócić ostrze krytyki. Zresztą przeciwstawionym temu przedmiotowi była młodzież, temat tak pociągający artystę, tak sympatyczny, że każda dusza estetyczna odczułaby to jako zgrzyt fałszywy, gdyby artysta, mając do wyboru między tymi dwoma przedmiotami, nie zwrócił się do młodzieży. Więc autor stanął na stanowisku młodzieży, a stanął całą duszą, z ogromną miłością i z całym wysoce zapalnym temperamentem swoim. To zdecydowało o powodzeniu literackiem jego utworu, któremu nadało dech młodzieńczego piękna i polot śmiałości, ale uczyniło tendencyę tego utworu jednostronną, niewłaściwą.

Że dzisiejsza szkoła średnia nie spełnia swego zadania wobec młodzieży w sposób taki, jakby tego od niej teoretycznie wymagać można — tego nikt nie przeczy. Potrzeba reform w naszem szkolnictwie średniem odczuwaną i uznaną jest powszechnie. Lecz zapominać nie można, że na taki, jakim on jest, stan naszych szkół złożyły się nader liczne i bardzo złożone przyczyny, tkwiące głęboko w naszem niezwykłem położeniu politycznem i naszych wyjątkowych stosunkach społecznych i ekonomicznych. Gdy rzecz p. Kaweckiego graną była w Warszawie i ostrze jej krytyki zwracało się przeciw szkole rosyjskiej -- sprawa to była inna, — niż kiedy gra się ją u nas — jako krytykę i jako wyraz protestu przeciw naszej szkole. Od czasu gdy szkole naszej, aczkolwiek w nieobszernych ramach, zapewniono rozwój samodzielny, stali i stoją na czele naszego szkolnictwa ludzie wielkiej wiedzy i wielkiej miłości młodzieży. A ten, który w ostatnich latach długo dzierżył ster naszych spraw szkolnych, a którego rządy w kołach radykalnych najwięcej wywołały krytyki, jest człowiekiem wiedzy, rozumu, miłości młodzieży i patryotyzmu tak wielkiego, że niewielu takich mamy w narodzie. Wobec szkoły przez takich ludzi kierowanej, należy być w krytyce przynajmniej ostrożnym. Nie jego i innych kierowników naszego szkolnictwa szczera praca, mozolne wysiłki i rozumne zabiegi zaprowadziły naszą szkołę do tego stanu, w jakim się ona znajduje, ale rozwój jej utrudnił z jednej strony, przez obcych i nas nierozumiejących ludzi narzucony program szkolny, a z drugiej w większej jeszcze mierze skomplikowane przyczyny, tkwiące w naszej strukturze społecznej i w stanie tych warstw, które demokratyzacya szkoły wprowadziła do szkoły. Wielki rozmiarami traktat napisaćby potrzeba, ażeby wskazać te przyczyny. Nie mamy na to tutaj miejsca. Ale tu stwierdzić wypada, że podnosząc oskarżenie przeciw naszej szkole i to oskarżenie ciężkie i bezwzględne, na te przyczyny wskazać się musi, bo inaczej oskarżać się będzie niesprawiedliwie i nader jednostronnie.

Pan Kawecki całą winę złożył na naszych nauczycieli i przedstawił ich w świetle tak czarnem, iż zrozumieć niepodobna, jak władze szkolne, mogły takich ludzi wyznaczyć na przywódzców młodzieży i jak ich mogą tolerować. To grono nauczycielskie, które poznajemy w „Szkole" oskarża nietylko siebie, ale oskarża cały zarząd szkolny z taką druzgocącą siłą, że o surowsze oskarżenie trudno. A przytem rzecz tak jest ujęta i przedstawiona, że po za tem gronem biurokratów-pedagogów nie widzimy niczego, coby ujemnie wpływało na szkołę. Tak, iż zdaje się, że gdyby tylko przeprowadzić zmianę osób, reformę czysto personalną, a już wszystko byłoby naprawione, byłoby doskonałe.

4)

# Feljeton literacki.

**Władysław Łoziński:** *„Życie polskie w dawnych wiekach (wiek XVI—XVIII)"* — Lwów, nakładem H. Altenberga, Warszawa E. Wende i Ska. 1907, str. 232.

(Dokończenie).

W życiu codziennem i praktycznem, w sprawach administracyi fortun, w akcyach procesowych, a nawet w zajazdach i wojnach domowych, kobiety odgrywają często rolę energicznych i śmiałych adwersarek lub aliantek. Tak zwana Herod-Baba, to nierzadkie zjawisko w Polsce. Dwie Anusie, Opalińska i Stadnicka są nieustraszonemi, namiętnemi aliantkami swoich mężów w tej pamiętnej i krwawej wojnie prywatnej, która się toczyła przez trzy lata w ziemi przemyskiej od roku 1607 do 1610. Zofia Zamiechowska po ostatnim trzecim mężu, wojewodzina trocka Tyszkiewiczowa, nad podziw bystra, śmiała, energiczna, obrotna, przez 25 lat stacza wojny z Potockimi, Radziwiłłami, Wolskimi, Buczackimi, Czuryłami, jest sama sobie finansistą, jurystą, ekonomem i komendantem, wytrzymuje walecznie oblężenia swych zamków w Podhajcach i Buczaczu, odpiera zbrojne zajazdy i starościńskie egzekucye, zaczepia i broni się „prawem i lewem" trybunałem i arsenałem, dekretem i muszkietem; wychodzi z najgorętszych opałów obronną ręką i kończy żywot swój burzliwy z chrześcijańską podniosłością duszy, jako czcigodna matrona, hojna fundatorka szkół, kościołów i szpitalów, dobrodziejka krewnych, sług i przyjaciół — a przez ten cały czas tak głucho o jej trzech małżonkach, jak gdyby nigdy nie istnieli na świecie. Któż nie zapamiętał sobie z opowieści Paska tej pani podwojewodziny Sułkowskiej, która przyjeżdżającego w gościnę do jej męża króla Jana Kazimierza, wita gradem inwektyw na klęczkach, zanosząc modlitwę do Boga, aby „tego króla, wydziercę, szarpacza, krwi niewinnej rozlewcę, pioruny strzaskały, żeby go ziemia żywego pożarła, żeby go pierwsza kula nie minęła" itd. „Mąż jej gębę zatyka, a ona tembardziej mastykuje". Mniej zapewne gwałtowną, ale niemniej rezolutną była inna szlachcianka, Kunicka, która naprocesowawszy się z wojewodą sieradzkim Felixem Potockim o dwóch chłopów przez lat 25 i uzyskawszy na nim nareszcie dekret i banicyę, a nie mogąc wymódz na przemożnym magnacie poddania się prawomocnemu wyrokowi, w r. 1672 jedzie do Warszawy w czasie sejmu, wpada do izby podczas obrad senatu, i kiedy Potocki głos zabiera, przerywa mu śmiało i zadaje *inactivitatem*, tj. odmawia mu jako banicie prawa do funkcyi senatorskiej. Książę podkanclerzy litewski Radziwiłł grozi jej wyprowadzeniem z sali, „bo teraz radzimy o obronie ojczyzny", ale nieustraszona szlachcianka chwyta się obiema rękami za szranki i zwraca się do króla mową „nieporównanie jako wyprawną, rzetelną, krzykliwą", jak się wyraża naoczny świadek tej sceny, wołając: „Co mi po takiej obronie ojczyzny, kiedy wielki pan stanie za ordę tatarską. Nie takeś Wasza Królewska Mość nam ubogim sierotom czynienie sprawiedliwości świętej przysięgał"! Słowem, szlachcianka zahamowała całą czynność senatu, musiano na dwie godziny zawiesić obrady i skończyło się na tem, że wojewoda z „wielką swoją konfuzyą" musiał wypłacić Kunickiej na poczekaniu dwa tysiące zł. w gotówce, bo kiedy nie mając przy sobie całej sumy, dawał jej oblig, nie chciała go przyjąć, mówiąc, że „za grosz w Warszawie całego arkusza papieru dostanie". Tak częste w Polsce porywania, czyli tak zwane „rapty" panien, mają swe źródło bardziej może w energii samych panien, aniżeli w zuchwalstwie mężczyzn; najgłośniejsze z nich udają się tylko determinacyą i śmiałością „porywanej" kochanki, jak np. sławny swego czasu rapt starościanki halickiej Krzysi Strusiównej przez Adama Kalinowskiego; ucieczka wojewodzianki Mniszchówny, siostry carycy Maryny, z Hermolausem Yordanem; wyłamanie się z klasztoru przemyskiego chorążanki wyszogrodzkiej Szczawińskiej itp., bo we wszystkich tych raptach panny nietylko nie są ofiarami zuchwalstwa, ani nawet biernemi figurami, ale przeciwnie, odgrywają bardzo czynną rolę, dają dowody wielkiej odwagi i po ich to stronie najczęściej hazard i zasługa powodzenia. Przytoczyliśmy tylko kilka bardziej oryginalnych a mniej znanych rysów i przykładów; źródła rękopiśmienne XVII w. a zwłaszcza akta grodzkie i ziemskie rozmaitych dzielnic polskich, mogłyby ich dostarczyć w obfitości.

Z tego, co przytoczyliśmy, wypływałoby, że jak w tylu sprawach domowych i pozadomowych, tak samo i w życiu towarzyskiem, a więc na polu, na którem wiek XVIII i w Polsce także przyznał im berło panowania, kobiety zajmowały dominujące stanowisko. Zdaje się przecież, że wniosek taki byłby mylny. Mamy wprawdzie tylko skąpe wiadomości o życiu towarzyskiem w wiekach minionych, ale to, co wiemy, wystarcza, aby odnieść uzasadnione wrażenie, że towarzyska rola kobiety nie pozostawała w odpowiednim stosunku do jej zalet i przymiotów, okazywanych w praktycznem i domowem życiu. Było kilka powodów tego objawu: najpierw surowe aż do przesady pojmowanie skromności i wstydliwości niewieściej, wynikający stąd i już wychowaniem podyktowany brak towarzyskich stosunków z płcią męską w pierwszej młodości, a co zatem także iść zwykło, brak dozwolonej nawet i niewinnej zalotności — „la coquetterie n'y est point en usage", mówi Laboureur o Polkach — a w końcu i braki samegoż wychowania, które nie dawało kobiecie dostatecznej oświaty, a już zupełnie zaniedbywało kultywowania tych stron umysłu i fantazyi, które są duszą konwersacyi i wykwintniejszego pożycia z ludźmi. Kobieta polska wieków przeszłych miała dużo wrodzonej inteligencyi, ale bardzo mało umysłowego wykształcenia. Spotykamy liczne przykłady, że szlachcianki z znaczniejszych nawet domów podpisać się nie umiały; zdradzają nam tę niemiłą tajemnicę akta sądowe. W domach wielkopańskich niewątpliwie musiało być inaczej, ale w średnim świecie szlacheckim kobieta z wykształceniem odpowiedniem swemu stanowisku i fortunie należała do wyjątków. Kiedy się trafił szlachcic — a bywał to zazwyczaj człowiek znający po trosze kraje cudzoziemskie — który pragnął zapewnić wyższą edukacyę córce, jak np. podkomorzy derpski, Lachodowski († 1653), to kończyło się na tem, żeby do dwunastego roku „dobrze czytała i pięknie pisała, umiała także grać na instrumencie", t. j. na klawicymbale i lutni, „ponieważ dziecię dowcipu bystrego, a skoro przejdzie rok dwunasty, oddać ją na dwór Królowej Yejmości". Ale każdoczesna królowa miała ograniczony zawsze fraucymer, na dworach wielkopańskich także dla niewielu panienek było miejsce — a więc ta jedyna akademia dobrego tonu i towarzyskiej ogłady tylko za wyjątkową protekcyą była przystępna.

Na końcu jeszcze tego pobieżnego sprawozdania o świetnej pracy p. Łozińskiego wyjaśnić należy, dlaczego dzieło to zajmuje się tylko życiem szlachty w wieku XVI—XVIII. Oto było ono pierwotnie przeznaczone aby stanowiło część wielkiego wydawnictwa zbiorowego o życiu w Polsce w tych wiekach. Autor więc zakreślił sobie pewne ramy ograniczone, a nawet formie dzieła narzucił pewne więzy, chcąc się zastosować do wyznaczonej mu części programu całego wydawnictwa i niechcąc ram tej części przekraczać. Następnie jednak owo dzieło zbiorowe uległo bardzo znacznej zwłoce, tak, że Szanowny Autor zdecydował się wydać studyum swoje jako pracę samodzielną, bojąc się, by praca jego, lata czekając, nie zmarnowała się. I dobrze zrobił. Bowiem książka jego jest tak piękna, z takiem czyta się ją zadowoleniem i jako monografia prawie jedyna tego rodzaju, a bezwarunkowo jedyna tak doskonała, nader jest pożyteczną, że byłoby szkodą niepowetowaną, gdyby manuskrypt jej był pozostał w tece autora.

Pan Kawecki jest znakomitym, niezwykle utalentowanym obserwatorem; to też doskonale podchwycił on wszystkie słabe strony tych ludzi i przedstawił je uderzająco w oczy. Ale nie dojrzał w nich żadnych innych stron. Zebrał w jedną wielką sumę zbiorowego oskarżenia wszystkie ich wady, ale tylko wady i nic więcej. Te wady ich wystawił jako początek i koniec złego stanu rzeczy i jako tak dominujące nad całą szkołą, że żaden inny duch w tej szkole powiać nie może.

Jest w tem cokolwiek słuszności; ale jak mała jest ona w stosunku do całości przyczyn rzeczywistych, zobaczmy w szczegółach sztuki.

Co do obserwacyi p. Kaweckiego wogóle, to mają one tyle siły bezpośredniości i tak są śmiało przedstawione, taki mają wdzięk literacki, że rzeczywiście przykro jest, iż ze względów po za literaturą piękną stojących, musi się je zimnem ostrzem odzierać z ich wdzięku. Zaiste nie należałoby tego czynić, gdyby chodziło o przedmiot mniej ważny, gdyby olbrzymia waga i doniosłość tematu poruszonego w „Szkole" nie wyzywała do dyskusyi, w której miarą nie mogą być czynniki decydujące dla estety, ale stanowić może właściwe kryteryum tylko bezstronne i ścisłe rozważenie przyczyn, nienadających się na tematy literackie.

Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że p. Kaweckiemu nie są bynajmniej obce i nieznane inne ujemne wpływy na szkołę, oprócz złych profesorów. Jako talent wybitnie obserwacyjny, nie mógł on tych wpływów nie zauważyć, nie mógł też przynajmniej ich zewnętrznych objawów pominąć zupełnie, ale usunął je na plan daleki i wyznaczył im (jak np. w tle) rolę wręcz odmienną, niż one odgrywają w rzeczywistości. Oto garstka uczniów mieszka „na stancyi" u wdowy Wesołowskiej, przez to kobieta trywialna i pijaczka. Drugi, przez uczniów niezajęty pokój, wynajmuje ona jakiemuś staremu lampartowi, który przez pokój uczniów sprowadza do swego mieszkania uliczne dziewczęta. Należałoby się spodziewać, że autor postawiwszy takie dane, pokaże nam, jaki fatalny wpływ wywiera na uczniów owa pani Wesołowska i widok lampartskiego życia owego jej sublokatora. Wiemy ze smutnej praktyki, jakim jest wpływ takich „stancyj" na uczniów. Tymczasem na młodziutkich bohaterów „Szkoły" nie wywiera ona wpływu zgubnego; przeciwnie — snać siłą przeciwieństwa — wywołuje skutek wręcz przeciwny. Na zaniedbanie i nałóg pijaństwa Wesołowskiej patrzą młodzi uczniowie z taką dobrą wyrozumiałością, jak ludzie, których już życie doskonale wyszkoliło i nauczyło właściwie oceniać błędy drugich; a zalotna dziewczyna, którą sprowadza ów sublokator Wesołowskiej, nietylko nie zwróciła na siebie ciekawości, nie wywołała tak wielkie ich oburzenie, iż uległa mu nawet Wesołowska, która jeszcze parę minut przedtem godziła się na wszystko, aby tylko nie utracić dobrze płacącego lokatora. Tak więc owa zła stancya nie demoralizuje uczniów, ale przeciwnie, oni umoralniają jej mieszkańców, a sami wśród tego bruda życiowego oddychają tylko najczystszą myślą, odbywają zgromadzenie swego tajnego stowarzyszenia „Czarna Róża", na którem i prozą i wierszem wypowiadają myśli najpiękniejsze i na którem informują słuchacza, że muszą uciekać się do pielęgnowania swej duszy w takiem tajnem stowarzyszeniu, bo szkoła ich zupełnie nie zajmuje, jest im zgoła obcą, jakby od nich bardzo oddaloną.

W akcie drugim, w którym odbywa się lekcya szkolna, mamy na to dany dowód. Akt ten jest po literacku tak znakomicie zrobiony, tak bogato uposażony w świetnie z życia schwycone szczegóły, że literacką swoją stroną porywa publiczność i zakrywa przed jej krytycznem okiem to, co jest w nim nieprawdopodobnego. W klasie zebrani są uczniowie; ma być właśnie godzina psychologii, którą wykłada gospodarz klasy i zarazem profesor matematyki, biurokrata, rutynista, nielubiący młodzieży i złośliwy wobec niej, to też przez nią serdecznie znienawidzony. Lecz ktoś zatrzymał na korytarzu tego profesora i rozmawia z nim w ważnej sprawie; więc tymczasem przychodzi go zastąpić profesor historyi. Jak z krótkiego jego pobytu w klasie się okazuje, jest to człowiek kochający młodzież; ale wykłada tak nudnie, a nawet refleksye swoje na temat stosunku profesora do uczniów wygłasza tak nieszczęśliwie, że wszyscy uczniowie, jakkolwiek są do niego przywiązani, ogromnie go lekceważą, wyrabiają podczas jego wykładu najrozmaitsze psoty, nieco zbyt dziecinne w VIII klasie, i zupełnie poważne ustępy jego wykładu przyjmują to śmiechem, to rozmaitymi wykrzyknikami. Wchodzi wreszcie ów profesor matematyki i psychologii. Na korytarzu rozmawiał on właśnie z sublokatorem Wesołowskiej, który z zemsty za wypowiedzenie mu za sprawą uczniów mieszkania przez Wesołowską, denuncyuje ich, że utrzymują tajne stowarzyszenie. Jako głowę tego stowarzyszenia wskazuje ucznia Orzelskiego, który jest ze wszystkich swoich kolegów najzdolniejszy i najsympatyczniejszy „lumen" klasy. Profesor „wywołuje" pięciu uczniów, między nimi Orzelskiego i pyta ich. Tu okazuje się jego wstrętna natura. Każda zła odpowiedź i możność zapisania uczniowi złej noty sprawia mu widoczną radość. W trakcie wypytywania uczniów czyni profesor rozmaite przykre aluzye do pozaszkolnego zachowania się Orzelskiego, a gdy on chce się tłómaczyć, profesor wpada w pasyę i nazywa go smarkaczem, durniem i trędowatą owcą. Orzelski panuje nad sobą jak prawdziwy gentelman i odpowiada profesorowi tylko ironicznem powtórzeniem świeżo wygłoszonego zdania z jego wykładu, że wybuchem afektów rządzi rozum. Profesor w szalonej pasyi opuszcza klasę. Towarzyszą mu nienawistne okrzyki uczniów.

Akt trzeci był autorowi koniecznym dlatego aby w nim matka Orzelskiego mogła go błagać żeby przeprosił obrażonego profesora. Resztę więc aktu musiał autor wypełnić zbyt literacką dysputą Orzelskiego z jakimś podlotkiem o miłości i jej stosunku do wolności i siły mężczyzny niezależnego i kilkoma scenami charakterystycznymi. Z tych scen jest bardzo udatna i raz jeszcze wskazuje, że autor wszechstronnie zna braki szkoły, tylko nie o wszystkich chciał mówić. Oto jeden z kolegów Orzelskiego, który zdaje się wyniósł z domu pewną pogardę dla demokratycznych nazwisk, gdy mowa jest o tem, że szkoła nie zajmuje uczniów, z ironią wylicza nazwiska profesorów: Sojka, Mularczyk, Wypniaczek, Miluś, Sarenka, Bej etc.

W akcie czwartym odbywa się konferencya „karna", na której ma być Orzelski zaocznie osądzony. Przewodniczy konferencyi dyrektor biurokrata, dla którego ogromnie ważnym jest tylko protokół, a najważniejszą rzeczą jest to, że tercyan zapomniał mu na krześle położyć poduszkę. Oskarża Orzelskiego profesor Wypniaczek, który mówi po polsku ogromnie śmiesznie, jak cudzoziemiec. Ustawicznie korygują jego wymowę inni i co chwila strasznie śmieszy prof. Rostruchański, który ostatecznie zasypia. Przeciw Orzelskiemu przemawia profesor-rutynista Żalski, który nie wymawia „r", jest zakostniałym biurokratą i dlatego, że słyszy skargi na demoralizacyę młodzieży, chciałby każdego ucznia karać czy winien, czy nie. Za karą wykluczenia Orzelskiego ze wszystkich zakładów jest również młody suplent Miluś, figura śmieszna, nie wymawiająca połowy słów, tak, że nikt go zrozumieć nie może, a profesor Rostruchański żżyma się z powodu tej jego wymowy na sam jego widok. Jeszcze jeden stary rutynista Herkules przemawia za ukaraniem; a dwaj młodzi suplenci boją się oponować starszym profesorom. Wśród tych wszystkich tylko jeden znany nam już profesor historyi Bej stara się Orzelskiego usprawiedliwić, przemawia kolegom do serca i zarzuca im, że jako biurokraci sądzą protokół, nie żywego winowajcę. Wreszcie młody suplent Mularczyk wygłasza mowę na temat zadań szkoły i jej dzisiejszego upadku. A obrażony przez Orzelskiego profesor Sobotniewicz, którego przed konferencyą matka Orzelskiego zaklinała na jego własne dzieci, oświadcza, że jest za łagodnem ukaraniem. Wtem któryś z młodych suplentów wprowadza do sali Orzelskiego i kilku jego kolegów; to ogromnie konsternuje profesorów. Lecz słowa owego śmiałka, który wprowadził uczniów, rozbrajają ich. Sobotniewicz przebacza Orzelskiemu i — na tem kończy się sztuka.

To grono profesorskie wymalował autor w barwach tak nieprawdopodobnie czarnych i stosunek ich do uczniów przedstawił tak, iż ci profesorowie wydają się czemś okropnem, dławiącem myśl i ducha szkoły. Po za nimi nie widać innych przyczyn złego. Młodzież jest idealnie dobrą; ale ci profesorowie obrzydzili jej szkołę i naukę, uczynili im siebie i szkołę czemś nienawistnem.

Ta niesprawiedliwie jednostronna tendencya sztuki podkopać musi brak zaufania domu i rodziców do szkoły i odsunąć od siebie jeszcze dalej, niż dziś stoją, te dwa czynniki, których współdziałanie może być jedynie zbawczem dla pedagogii; a brak tego ich współdziałania jest jednem z największych nieszczęść dzisiejszego wychowania.

„Szkołę" grano wczoraj w sposób niezrównanie świetny. Wspaniały ensembl uczniów stworzyli pp. Adwentowicz (Orzelski), Wostrowski, Nowacki, Rasiński, Kęcki, Walewski. Sceny zbiorowe w klasie podczas wykładu, jakkolwiek ze względu na liczbę brali w nich udział i chórzyści, wypadły nad wyraz doskonale. Wogóle reżyserya dokonała w wystawieniu „Szkoły" prawdziwego arcydzieła. Realizm w dekoracyach był posunięty do najdrobniejszego nawet szczegółu. Pod względem ensemblu wypadła również bardzo dobrze scena konferencyi. Wspaniale grali pp. Feldman i Szobert, pierwszy znienawidzonego profesora matematyki, drugi historyi; niezrównanym był p. Fiszer, jako zasypiający profesor Rostruchański, również bardzo dobrze grał p. Antoniewski dyrektora i p. Klimontowicz młodego rezonera. Niektórzy inni aktorzy, a przedewszystkiem p. Berski dopuścili się pewnej przesady.

Teatr był wypełniony do ostatniego miejsca. Publiczność II i III balkonu i dalszego parteru przyjmowała sztukę z zachwytem. Autora wywołano kilkakrotnie i serdecznie oklaskiwano.

*(fm).*

* **Władysław Bełza**. *Baśń o królewnie na drewnianych nóżkach.* Z illustracyami p. Juliusza Zubera. Lwów. Nakład polskiego Towarzystwa pedagogicznego.

Książeczka ta, ślicznie wydana, bardzo ładnemi illustracyami ozdobiona, jest jednym z najpiękniejszych zwiastunów zbliżającego się „Świętego Mikołaja" i „Gwiazdki". Trudno bowiem wyobrazić sobie ładniejszy i poetyczniejszy podarek dla dzieci na te dni, jak właśnie owa książka. Bo i szata zewnętrzna nadzwyczaj ponętna i treść ujmująca. Pan Władysław Bełza, umiejący patrzeć w głąb dusz dziecięcych, zamknął w „Baśni o królewnej na drewnianych nóżkach" bardzo podniosły morał, ale podał go tak delikatnie, że dzieci, które na ogół biorąc, nie lubią morałów, ani nie zauważą, kiedy go połkną i przyswoją sobie. Opowieść jest bardzo rzewna, lecz zaprawiona subtelnym dowcipem i humorem. Oto pewna młodziutka i śliczna królewna, która ogromnie lubiła się bawić i na każdy bal z boną chodziła, upadła raz w tańcu i połamała sobie nóżki w drobne okruszynki. Kiedy wszyscy potracili głowy, a królewna zalana łzami leżała na posadzce, wszedł na salę szumnie, z całym swoim dworem ślicznie wystrojony królewicz, a zobaczywszy królewnę, pocałował ją w rękę

I pocieszał niebogę:
— „Ja ci zaraz pomogę".

Poszedł prędko do boru,
Zrobił nóżki z jaworu,
Z trzewiczkami na drewnie
I darował królewnie.

Królewna ogromnie się ucieszyła, bo nowe nóżki leżały jakby ulane i zaraz mogła puścić się znowu w taniec. Z wdzięczności zaprosiła do tego tańca królewicza, a on, że był wielki hulaka i bardzo się bawić lubił, począł tak ochoczo tańczyć, że znowu on upadł i rozbił sobie nietylko nogi, ale ręce i głowę.

„Sprowadzono lekarza
Z pobliskiego cmentarza,
Co tam właśnie wprowadzał
Kogoś, co mu zawadzał"

ale on nic nie umiał poradzić, równie jak i inni jego koledzy. Dopiero któryś z dworzan wpadł na pomysł przywołania druciarza i ten rzeczywiście doskonale królewicza podrutował. Ale królewna widząc, że on tyle cierpi przez nią rozpłakała się i płakała bez przerwy cały kwartał i tyle łez wylała, że się wreszcie zamieniła w staw, nad którym często można widzieć w noc księżycową królewicza, jak szuka swojej królewnej..

A gdzież morał?

Oto, gdy królewicz upadł i rozbił się, ktoś zapytał:

„Za cóż, za cóż los srogi,
Tak go skarał o bogi!
Za cóż kłaść się do trumny
Ma królewicz ten dumny
I w lat swoich rozkwicie
Tracić berło i życie?..."

A poeta odpowiada na to w następujący pouczający sposób:

„Ha, kto tańczy wciąż tylko,
Trwoniąc chwilę za chwilką:
Kto dla marnej zabawy,
Rzuca ważne w kąt sprawy:
Czy on królem potężnym,
Czy też chłopem siermiężnym,
Gdy niebacznie los kusi,
Taki koniec być musi!

Bo treść życia młodzieży
Nie na fraszkach zależy;
Nie na tańcach, swywoli,
Co czas chłoną powoli,
I są godne pogardy:
Lecz na pracy, na twardej,
Dla swych bliźnich, współbraci,
Która tu się czcią płaci,
I uprawia grunt żyzny,
Dla pożytku ojczyzny".

Illustracye, jak już wspomnieliśmy są bardzo ładne, doskonale pod względem kompozycyi zastosowane do treści i rozwoju utworu p. Bełzy i bardzo podnoszą i tak już wielką wartość książeczki. Nie dziw, gdy się zważy, że robił je taki doskonały artysta, jak p. Zuber.

Doprawdy wielkie uznanie należy się Polskiemu Towarzystwu pedagogicznemu we Lwowie za tak piękne wydanie tej książki. Tylko tak ładne wydawnictwa mogą wyrabiać w dzieciach smak estetyczny.

## Żandarm mordercą.

W Zbylitowskiej Górze pod Tarnowem, majętności dyrektora Towarzystwa kredytowego ziemskiego p. Żaby, zajęty był od dłuższego czasu jako kucharz Michał Mikowski, liczący około 50 lat. Był to człowiek spokojny, pracowity, lubiany nietylko we dworze, ale w całej wsi. Mikowski był żonaty z wdową i miał pasierbicę, młodą, 23-letnią, bardzo przystojną dziewczynę. W pasierbicy tej zakochał się wachmistrz żandarmeryi tarnowskiej, niejaki Falek. Czy to był w służbie, czy też poza służbą, często zachodził do dworu, aby zobaczyć swą ukochaną, która jednak afektów jego podzielać nie chciała. Na wszystkie jego zapewnienia i przysięgi miłosne była głuchą. Falek nie tracił jednak nadziei, że przecież uda się mu zjednać dla siebie dziewczynę.

Ubiegłej soboty Mikowski udał się z domu do sąsiedniej wsi Zgłobic, na zakupno mięsa do dworu. Towarzyszyła mu pasierbica. Przybywszy do Zgłobic i poczyniwszy zakupy, Mikowski wraz z pasierbicą wstąpił do tamtejszej karczmy. Zastał tam kilku żandarmów, a ponieważ był między nimi także Falek, więc Mikowski przyjął zaproszenie i razem z pasierbicą przysiadł się do stołu. W towarzystwie tem zabawiali się do godziny 9 wieczorem, poczem zebrali się do odwrotu. Żandarmi odeszli do koszar, a tylko Falek oświadczył, iż odprowadzi Mikowskiego i jego pasierbicę.

Co się stało w czasie drogi — niewiadomo. Rano w niedzielę ludzie idący do kościoła, znaleźli na gościńcu w kałuży krwi dwa zimne trupy: Mikowskiego i jego pasierbicy. Na ciałach znaleziono mnóstwo ran.

Podejrzenie padło natychmiast na Falka, tembardziej, że on przepadł był bez śladu.

Zwłoki zabrano do kostnicy. Przeprowadzona obdukcya sądowo-lekarska wykazała, że morderca posługiwał się bagnetem i rewolwerem, tudzież, że w zwierzęcy wprost sposób dokonał mordu. Na zwłokach dziewczyny znaleziono rany kłute obok serca i na prawej ręce i ranę od kuli rewolwerowej w głowie. Zwłoki Mikowskiego wykazują rany kłute, oraz ranę z postrzału w serce.

Żandarmerya rozpoczęła natychmiast poszukiwania za mordercą i znalazła go w Woli rzędzińskiej, wiosce oddalonej od Tarnowa o 10 kilometrów. Falk zabarykadował się tam w jakiejś szopie i uzbrojony w rewolwer, groził każdemu zbliżającemu się, że go zastrzeli. Do Woli rzędzińskiej wyjechały dwa plutony piechoty, otoczyły szopę i wreszcie ujęły Falka.

## Część ekonomiczna.

**Wiedeń**, 26 listopada.

(Z.) W Londynie obniżył się dziś eskont prywatny na $6^1/_4\%$, jest zatem o $^3/_4\%$ tańszy od urzędowej stopy banku angielskiego. Fakt ten usuwa na razie obawy co do możliwości podwyższenia stopy procentowej w Anglii w tym tygodniu. Dlategoteż na giełdach kontynentalnych przeważało dziś silne usposobienie, pomimo, że najświeższe doniesienia z Ameryki brzmią nie bardzo wesoło, gdyż konstatują wzmaganie się przesilenia przemysłowego. Z każdym dniem staje się większą liczba takich fabryk i innego rodzaju przedsiębiorstw przemysłowych, które muszą oddalać robotników i zredukować produkcyę.

Na tutejszym targu obniżył się kurs akcyj kredytowych i alpinów, natomiast akcye Staatsbahnu uzyskały dosyć pokaźną zwyżkę. W sferach giełdowych wymieniają już bowiem cyfrę ewentualnej ceny wykupna, o którą toczyć się będą rokowania między rządem a akcyonaryuszami Staatsbahnu. Mówią mianowicie, że akcyonaryusze domagać się będą przyznania im stałej renty, odpowiadającej czystemu dochodowi, jaki przyniosła ta kolej w roku ubiegłym, a więc około 34 milionów koron rocznie, natomiast rząd podobno zdecydowany jest ofiarować im tylko 28 milionów.

Reprezentacya miejska Czerniowiec zamierza zaciągnąć na targu tutejszym pożyczkę 8 milionów koron na $4^1/_2\%$, przeznaczoną na rozmaite inwestycye, jak budowę wodociągu, rzeźni, szpitalu dla zakaźnych, bruków itp. Rokowania w tej mierze prowadzone są z dolnoaustryackiem Towarzystwem eskontowem.

§ **Z gal. Kasy oszczędności we Lwowie** otrzymujemy następujący komunikat: „Od 15 sierpnia b. r. podniesioną została stopa procentowa od wkładek w galicyjskiej Kasie oszczędności we Lwowie złożonych z 3·6 na 4 od sta rocznie. Podwyżka stopy procentowej, która wobec kapitału wkładkowego 80 milionów stanowi dla Kasy wydatek większy rocznie o 320.000 kor., może znaleźć pokrycie tylko przy — o ile możności — równoczesnem, odpowiedniem podwyższeniu stopy procentowej od udzielonych przez galicyjską Kasę oszczędności we Lwowie pożyczek hipotecznych na dobra i realności i pożyczek komunalnych, w których przeszło 60 prc. całego kapitału wkładkowego jest ulokowanych. Uchwałą więc wydziału Kasy z 10 sierpnia b. r., którą procent od wkładek został podwyższonym — postanowiono zarazem podwyższyć procent od pożyczek hipotecznych na dobra i pożyczek komunalnych na 5 od sta, od pożyczek hipotecznych na realności miejskie na $5^1/_4$ od sta rocznie.

Powołana do wykonania tej uchwały Dyrekcya Kasy musi dążyć, by w wypadkach, w których obowiązek pożyczkobiorcy do opłacania podwyższonej stopy procentowej w samym skrypcie dłużnym nie był przewidzianym, obowiązek ten obecnie dodatkowo został przyjętym i tabularnie z bezpośredniem pierwszeństwem po pożyczce zabezpieczonym. — Deklaracye dodatkowe, których wzory w tym celu Dyrekcya na żądanie wydaje, są w obustronnym interesie w ten sposób sformułowane, ażeby w razie dalszych zmian na targu pieniężnym uniknąć potrzeby deklaracyi nowych.— Z chwilą intabulacyi podwyżki stopy procentowej z wymaganem pierwszeństwem, uznaje Kasa za niebyłe wypowiedzenia pożyczek i uznania za płatny ich resztującego kapitału, które jedynie uzyskanie deklaracyi dodatkowych mają na celu.

Poczuwamy się do obowiązku zwrócić uwagę na stylizowane w tym sensie końcowe ustępy wypowiedzeń i komunikatów względem uznania za płatne resztujących kapitałów, aby zadać kłam pogłoskom, które się pojawiły, jakoby galic. Kasa oszczędności dla innych jakichś powodów pożyczki wypowiadała. — Kasa nietylko nie ma zamiaru pożyczek ściągać, ale przeciwnie, gotowa rozłożyć je na zasadzie podwyższonej stopy procentowej na nowy dłuższy okres umorzenia, który umożliwi zatrzymanie rat amortyzacyjnych w dotychczasowej mniej więcej wysokości. Z poważaniem galicyjska Kasa oszczędności we Lwowie.

*Stroynowski.* *Dr. Kwiatkowski.*

## TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

*(Depesze poranne).*

**Paryż.** Prasa francuska omawia żywo wniesiony przez rząd pruski projekt antypolskiej ustawy. Dzienniki tutejsze konstatują przeważnie zupełne moralne bankructwo pruskiej polityki antypolskiej. *Temps* nazywa projekt rządu pruskiego „monstrum", *Journal Des Debats* „antykulturalnym", *Siècle* porównuje go do zarządzeń rządu tureckiego i perskiego, a *Etoile Belge* nazywa go zwykłym gwałtem i omawiając politykę antypolską Prus, cytuje kilka ustępów z wydanej przez Radę Narodową broszurki „Ecole prusienne".

**Berlin.** *Berliner Tageblatt* donosi, że w Poznaniu utworzył się jakiś komitet polski, który na antypolskie projekty odpowie propagandą generalnego bojkotu pruskich właścicieli dóbr ze strony robotników z Galicyi i Królestwa polskiego. Robotnicy ci mają być skierowani do Turyngii, Meklemburgii, Oldenburga i Danii. Komitet ów chce w ten sposób doprowadzić do ruiny niemieckich właścicieli dóbr.

**Rzym.** Dzienniki stojące blizko kuryi rzymskiej donoszą, że na mającym się niebawem odbyć Konsystorzu papieskim mają być zamianowani czterej kardynałowie, mianowicie dwaj włosi: X. Gasparri, sekretarz zarządu spraw kościelnych nadzwyczajnych, i X. Lai sekretarz kongregacyi Konsylium; i dwaj Francuzi: X. Lucon arcybiskup z Reims i X. Andrieu, biskup z Marsylii.

**Nowy York.** Cały wielki świat tutejszy zaintrygowany jest niesłychanie skandalem w domu miliardera Goolda, mianowicie p. Howard Goold wykrył, że jego żona oddawna już jest w niedozwolonych relacyach ze słynnym pułkownikiem Cody, znanym w Europie i w Ameryce pod nazwiskiem „Buffalo Bill". Mis Caterina Goold, zakochała się w tym rycerzu Preryi i bohaterze cyrków i złamała wiarę małżeńską.

*(Depesze popołudniowe)*

**Warszawa.** Onegdaj wpadło do sklepu Piotra Doboszyńskiego trzech bandytów i strzałami z rewolwerów położyło go trupem. Ścigającego ich rewirowego również zastrzelili. Był to akt zemsty.

Na urzędnika lombardów Bigoszewskiego napadli jacyś ludzie i przeszyli go na wylot dwoma strzałami. Napastnicy zbiegli.

**Inowrocław.** Przy tutejszych wyborach miejskich zwyciężyli Niemcy nad Polakami we wszystkich oddziałach.

**Monachium.** Ukazała się tu nowa broszura o kwestyi polskiej p. t. „Recht muss Recht bleiben. Eine kritische Studie zur Polenfrage in Preussen, von Oto".

## Rada państwa.

**Wiedeń.** Na dzisiejszem posiedzeniu Izby posłów prezydent ministrów bar. Beck przedłożył sprawozdanie deputacyi kwotowej. Minister skarbu dr. Korytowski przedłożył projekt ustawy o przyczynieniu się Austryi do wydatków wspólnych monarchii i projekt ustawy o zaprowadzeniu podatku od automobilów.

Pp. Chiari, Głąbiński, bar. Hormuzaki, Kramarz, Lueger, Stapiński i inni postawili wnioski nagłe: w sprawie drugiego czytania przedłożeń ugodowych, w sprawie przedłożenia o kolei dalmatyńskiej, w sprawie prowizoryum budżetowego i w sprawie zniżenia podatku od cukru.

Wnioski zwykłe zgłosili między innymi p. Ruebenbauer w sprawie zmiany § 9 ustawy o zarazach bydlęcych z 29 lutego 1880, tudzież w sprawie budowy kolei z Bochni do Tymbarku; p. Wityk w sprawie polepszenia stosunków płacy i pracy robotników salinarnych w Galicyi.

Między interpelacyami znajdują się: interpelacya p. Onyszkiewicza w sprawie wyborów gminnych w Starym Samborze i p. Standa w sprawie nieprzyjaznego dla żydów stosowania ustawy o cudzoziemcach na Węgrzech względem emigrujących z Austryi robotników.

P. Breiter wniósł interpelacyę do rządu, w której wskazuje na to, że wniesione w Sejmie pruskim przedłożenie, skierowane przeciw narodowi polskiemu w Poznańskiem i Prusach Zachodnich, jest dalszem ogniwem w łańcuchu strasznej polityki tępienia, jaką od dziesiątek lat rząd pruski stosuje względem Polaków. Interpelant zapytuje, czy rząd gotów jest poczynić rządowi niemieckiemu w odpowiedniej drodze przedstawienie, iż podobne przedłożenia gotowe są zachwiać zaufaniem w kołach obecnej własności rolnej i że właśnie w interesie państw, zorganizowanych na podstawach dynastycznych, powinno leżeć unikanie tego rodzaju przedłożeń.

**Wiedeń.** Jedna z tut. korespondencyi parlamentarnych donosi, że dziś odbyło się wspólne posiedzenie Koła polskiego i polskiej partyi ludowej, na którem jednomyślnie postanowiono podnieść wspólny protest przeciw wniesionemu przez ks. Bülowa w sejmie pruskim przedłożeniu o wywłaszczeniu.

### HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 28 listopada. Dr. S. Haczewski i K. Haczowski z Kołomyi. Dr. Grzybowski, Kapitan Witwicki i J. Plesnar z Krakowa. S. Żuk-Skarszewski z Żukowa. L. Zielenziger z Czerniowiec. O. Salowa z Wysocka. R. Tangerowie z Świdnicy. K. Goldberg z Sambora. J. Valentin, F. Steinbach i J. Swerok z Wiednia. M. Burzyński z Buczacza. Dr. Kowenicki z Brzeżan. S. Tauzzyński z Bakowiec.

### HOTEL FRANCUSKI.

*Restauracya. Pokój do śniadań. Wszelkie wina delikatesy.*

Lwów — Plac Maryacki

Przyjechali dnia 28 listopada. J. Nouzak i H. Mühlstein z Pragi. W. Gizowski z Krynicy. W. Tertil z Tarnopola. J. Halmos z Berlina. M. Bączalski z Buszczy. S. Kaiser i M. Griffel z Brzeżan. J. Toms z Rzeszowa. K. Sobota z Podhorek. E. Pruski z Wróblowic. S. Schreiber H. Mendl, O. Siegel, A. Gaspari, L. Skutezki i H. Uffenheimer z Wiednia.

### NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.



**Budapeszt** 28 listopada. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i za 50 kilogramów). Pszenica na kwiecień 13·00—13·01 (na październik 11·24—11·25); żyto na na kwiecień 12·19—12·20; owies na kwiecień 8·64—8·65; kukurudza na maj 7·54—7·55. Rzepak na sierpień 17·10—17·20. — Oferty napszenicę: mierne. — Chęć kupna: mierna. — Usposobienie: lepsze. — Pogoda: pochmurno.

**Giełda południowa** (godzina 12 minut 30) Wiedeń 28 listopada.

Marki 117.75, renta majowa 95·85, węgierska renta koronowa 92·60, akcye: austr. zakł. kredyt. 633·00, węg. zakł. kred. 745·00, anglobanku 286·00 unionbanku 528.00, bankvereinu 516·50, länderbanku 406·50, kolei państw. 668·00, lombardy 146·25 akcye kolei Elbethal 426.50, fabryki broni 000.00, [illegible] 000·00, alpiny 589·75, Rima Muranyi 514·00, prag. T. żel. 2430·00, losy tureckie 183·25, ruble 253.00. Usposobienie: silne.

$5\%$ renta rosyjska 1906 r. 87.50.

**Lwów** 27 listopada (Z izby handl. [illegible])

Obliczenie w walucie koronowej.

**Akcye** za 100 K.: Kolej gal. Kar. Ludwika po 400 Koron —.— do —.—. Kolej dworsko-Czern.-Jassy po 400 kor. 516— do 552.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 563·00 do 568·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —.— do —.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 400 koron 400.— do 500·—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 103·—110.—.

**Listy zastawne** za 100 K.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc prem. 109·60 do 110·30 4 i pół proc. los. w 50 lat 99·00 do 99·70, 4 proc. los. w 60 lat 94·00. do 94·70. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 99·80 do 100·50. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 94.00 do 94·70.— Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 96·00 do 00·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 96·50 do —.—, 4 proc. los w 56 lat 93·20 do 93·90.

**Obligi** za 100 K.: Gal. fund. propinacyjnego 4 pro. 97·00—97·70. Bukowińskiego fund propin. 5 proc. 101·00 do 101·70. Kom. Banku kraj. $4^1/_2\%$ (3-ej emisyi) 99·30 do 100·00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4-procentowe po 200 koron 92·60 do 93·30. Pożyczki kraj. z r 1873 proc. —.— do —.— 4 pr c. z 1893 r. 95.00—95.70, miasta Lwowa 4 proc. 93.00 do 92.70, $4\%$ bez podatku (konwers.) 94·00 - 94.70,

**Monety.** Dukat cesarski 11·38 do 11·43. Napoleon dor 19·06 do 19·25. 100 ruble rosyjskie papierowe 251·00 do 254·00. 100 marek niemieckich 117·50 do 117·80.

### Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1 maja 1907 r. według czasu środkowo-europejskiego.

**Przychodzą do Lwowa:**

Z Krakowa: **2.31*, 1.30, 8.40***, 5.50*, 7.25, **8.55**, 9.45 5.25, 9.50*.
Z Rzeszowa: 1.10.
Z Podwołoczysk na dworzec główny: 7.20, 12.00, **2.16**, 5.40, 10.30*.
Z Podwołoczysk na Podzamcze: 7.01, 11.40, **2.00**, 5.15, 10.12*.
Z Czerniowiec: **12,20***, 8.05, **2.25**, 3.55, 9.00*
Z Kołomyi: 10.05.
Ze Stanisławowa: 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.10, 12.40.
Z Jaworowa: 8.22. 5.00.
Z Sambora: 8·00, 10.30, 1.55, 9.20*.
Z Ławocznego: 7.29, 11.50, 10.50*.
Z Tuchli: 3.51.
Z Bełzca: 4.50.

**Odchodzą ze Lwowa:**

Do Krakowa: **12.45***, 3.45*, **8.25**, 8.40, **2.45**, 6.15*, **7.05***, 7.20, 11.00*.
Do Rzeszowa: 4.05.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: 6.20, 10.45, **2.17**, 7.00*, 11.15*.
Do Podwołoczysk z Podzamcza: 6.35, 11.03, **2.32**, 7.24* 11.35*.
Do Czerniowiec: **2.51**, 6.10, 9.20, **1.55**, 10.40*
Do Stryja: **11.30***.
Do Rawy i Sokala: 6.12, 7.10*.
Do Jaworowa: 6.58, 6.30*.
Do Sambora: 6.00, 9.05, 4.30, 10.51*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 2.25.
Do Przemyśla, Chyrowa: 4.05.
Do Ławocznego: 7.30, 2.26, 6.25*.
Do Bełzca: 11.05.
Do Stanisławowa, Czortkowa, Husiatyna. 5.50.

**Uwaga.** Pociągi pospieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

50)

# Śledztwo starej panny.

CZĘŚĆ TRZECIA.

**Kobieta w szarej sukni.**

(Ciąg dalszy).

Na śledztwie żaden ze świadków nie miał śmiałości widzieć w jednym lub drugim młodzieńcu tak wyniosłym i eleganckim osobistości o ruchach podejrzanych, o której dopiero co mówiłem. Daremne więc byłyby wysiłki znaglać ich do mówienia. Uciekłem się do podstępu, jak to zrobiły inne osoby, którebym mógł wymienić (tu złożył mi ukłon pełen przychylnej uniżoności). Myślałem, że tożsamość osoby mogła być udowodniona w sposób stanowczy, gdyby widziano tę osobę w tem samem miejscu i w tych samych warunkach. Udałem się tedy do Franklina Van Burnam i pod kłamliwym pozorem wyświadczenia bratu wielkiej przysługi, zdołałem go namówić, aby mi towarzyszył do hotelu D...

Nie wątpię, że się domyślił moich zamiarów, ale przyszedł zapewne do przekonania, że w tym wypadku najlepiej będzie okazać się śmiałym i swobodnym. Może też wystawiał sobie, że tak dobrze zachował wszelkie ostrożności, że nie miał się czego obawiać. Zgodził się chętnie na towarzyszenie mi. Poradziłem mu, aby zmienił na skromniejsze eleganckie ubranie, jakie miał na sobie a przynajmniej, aby je ukrył pod długim płaszczem. Jako dowód jego bezczelności — nie zapominaj pani, że wykazaliśmy należycie rolę, jaką odegrał w tym dramacie — dodam, że się nie zawahał okryć tym długim płaszczem, który tak zmienił całą jego postać.

Z rezultatu naszej wycieczki byłem bardzo zadowolony. Gdy wchodziliśmy do hotelu, widziałem, jak jeden z dorożkarzy, stojących przed domem, zadrżał i wodził wzrokiem za Franklinem. Był to ten sam, który z hotelu odwoził państwa Pope, a skoro przechodziliśmy około odźwiernego, ten na mój pytający wzrok odpowiedział mrugnięciem, które znaczyło: tak bez wątpienia, to ten pan.

Ale dopiero kasyer dostarczył mi najpewniejszego dowodu o tożsamości poszukiwanej osoby. Wchodząc do kantoru, umyślnie pozostawiłem p. Van Burnama w miejscu, gdzie przypuszczalnie znajdował się p. Pope, podczas gdy kobieta uchodząca za jego żonę wpisywała nazwiska na liście hotelowej. Zaleciłem mu, aby się zatrzymał, podczas rozmowy mojej z kasyerem, zawsze w interesie jego brata. Wkrótce znalazłem sposób, pod jakimś pozorem zwrócić na niego uwagę kasyera. Wstrząśnienie jego i wykrzyk nie mogły mnie omylić: „Ależ to nasz poszukiwany człowiek, zawołał, na szczęście dość cicho. Ten sam wzrok niespokojny, głowa pochylona, wąs kasztanowaty, wszystko, oprócz płaszczyka od kurzu. — Cóż znowu? — odpowiedziałem, to jest p. Franklin Van Burnam — śni się panu. — Nic na to nie poradzę, powiedział, widziałem obu braci na śledztwie, ale wtedy nie znalazłem najmniejszego podobieństwa z naszym tu obecnym klientem. Ale pozwól pan sobie powiedzieć, że taki, jakim go widzę, jest daleko podobniejszym do Jamesa Pope, niż jego brat Howard. Wzruszyłem ramionami i zapewniłem go, że to, co mówił, nie miało sensu i lepiejby zrobił, nie powtarzając podobnych niedorzeczności. Nareszcie opuściłem hotel, udając żywe niezadowolenie, ale z postanowieniem prowadzenia w tym kierunku śledztwa, rozpoczętego pod tak zachęcającą wróżbą.

— Teraz szło o określenie, jaki interes miał ten panicz w popełnieniu zbrodni, tak dalece nieodpowiedniej jego charakterowi i życiu, jakie prowadził. Było dowiedzione, że podczas śledztwa nie okazał żadnej nienawiści do swojej bratowej. Nie było powodu do przypuszczenia, żeby czuł do niej śmiertelną urazę, którąby jedynie podobny zamach tłómaczył. Ale my, agenci, nie zwracamy uwagi na pozory, a przekonany będąc o tożsamości pana Franklina z wrzekomym panem Pope z hotelu D... postanowiłem prowadzić poszukiwania poza miastem. Opuściłem więc Nowy York i wszystko, co mnie mogło obchodzić, w to wliczam również i usiłowania pani współzawodniczenia ze mną — a odjeżdżając, powierzyłem kierownictwo interesu młodemu człowiekowi, który nie potrafił ocenić wytrwałego charakteru pani. W każdym razie, za moim powrotem, nie umiał mi więcej powiedzieć nad to, że pani często odwiedzała miss Althorpe, rzecz tak małej wagi, że nie warto było o tem wspominać.

Miejscem mego pobytu było Fours-Corners, mała mieścina, gdzie Howard zrobił znajomość z osobą, która miała zostać jego żoną. Opowiadając, czego się tam dowiedziałem, powtórzyłbym tylko to, o czem już pani zapewne wiadomo, miss Butterworth.

— To nic nie szkodzi — odezwałam się bardzo poważnie (bo nic wiedziałam, o czem chciał mówić). — Nie opuszczaj pan żadnego szczegółu, jestem gotowa cię wysłuchać.

Była to rzeczywista prawda, chociaż powiedziana lekko ironicznym głosem. W każdym razie opowiadanie jego mogło mieć związek z faktami, na które ja również zwróciłam uwagę.

— Możność udzielenia miss Butterworth niektórych wiadomości sprawia mi wielką przyjemność, a ponieważ podczas mego pobytu w Fours-Corners nie spotkałem pani, ani jej służącej, pozwalam sobie mniemać, że pani ograniczyła swoje poszukiwania do towarzystwa, które zaszczycasz swoją obecnością.

Myślał i mówił zapewne o moich odwiedzinach u miss Althorpe.

— Fours-Corners jest małem miasteczkiem w południowym Stanie Vermont i tam to przed trzema laty Howard Van Burnam ujrzał po raz pierwszy miss Stapleton. Przebywała wówczas w domu niejakiego p. Harrison, jako dama do towarzystwa przy jego chorej córce.

Ah! zrozumiałam teraz znaczenie, jakie ten chytry, stary agent przywiązywał do moich odwiedzin u miss Althorpe. Cieszyłam się zawczasu zwycięstwem, jakie miałam nad nim odnieść.

— Miejsce to nie bardzo podobało się miss Stapleton, która tylko błyszczała w męskiem towarzystwie, ale p. Harrison nie odkrył jeszcze tego charakterystycznego rysu w młodej dziewczynie, a ponieważ zdrowie jego córki pozwalało na przyjmowanie kilku przyjaciół, co nawet było jej dla rozrywki zaleconem, posłużyło to damie do towarzystwa zrobić znajomość z p. Howardem Van Burnam, znajomość, która doprowadziła do wiadomych tragicznych rezultatów.

Pierwszy raz spotkali się w domu prywatnym i w krótkim czasie dowiedziałem się o licznych faktach, o których w Nowym Yorku nie mają pojęcia. Najprzód, że ona nie była tak nim zajęta, jak on nią. Młody człowiek odrazu uległ powabom pięknej damy do towarzystwa i we dwa tygodnie od pierwszego ich spotkania, oświadczył się. Ona go przyjęła, ale wszyscy, którzy ich razem widzieli nie wierzyli bardzo w jej zajęcie się narzeczonym, dopóki Franklin nie zjawił się w mieście.

Wtedy całe jej zachowanie się uległo zmianie, a uroda jej przybrała wyraz tak silny i nieprzezwyciężony, że jej wielbiciel coraz więcej za nią szalał. Wreszcie jest prawie dowiedzionem, że Franklin również nie był obojętnym na tyle wdzięków, chociaż młoda dziewczyna była narzeczoną jego brata i że honor nakazywał mu usunąć się. Przyszłą bratową. Stracił głowę, przynajmniej na czas pewien. Zapewne miss Stapleton zachęcała go, bo zdaniem wszystkich, była kutą na cztery nogi. Jakkolwiekbądź Franklin posunął się aż do wyznania jej namiętności, jaką w nim wzbudziła w liściu, o którym dużo słyszałem, zanim trafiłem na szczęśliwą sposobność posiadania go przez chwilę. To się działo przed trzema laty i jestem przekonany, że miss Stapleton zgodziłaby się chętnie na zerwanie z Howardem i poślubienie Franklina, gdyby ten ostatni miał odwagę narażenia się na wymówki brata. Ale widocznie brakło mu odwagi. Nawet list jego, którego treść jest nadzwyczaj namiętna, nie robi nadziei młodej dziewczynie ściślejszych związków niż stanowisko szwagra z bratową. Nie stracił więc poczucia honoru, a ponieważ wkrótce opuścił Fours-Corners, a powrócił dopiero w wigilię ślubu, byłoby wszystko w porządku, gdyby młoda kobieta miała równe zalety. Ale szczycić się niemi nie mogła. Chętnie życzyła sobie zaślubić Howarda, dla korzyści, jakie jej ten związek przedstawiał, ale żywiła do Franklina nienbłaganą urazę, jak mówiła, że nie chciał się zgodzić na popędy jej serca.

Równie gwałtowna, jak przebiegła ukryła przed oczami wszystkich prawdziwe swoje uczucia, wywnętrzając się przed jedyną przyjaciółką, w gruncie obłudną, ale pozornie szczerze życzliwą, nazwiskiem...

— Oliver — pomyślałam.

Wymienił jednak inne nazwisko.

(Ciąg dalszy nastąpi)

---

Wydział krajowy.
LW. 85474/07.

# Ogłoszenie.

## Sprzedaż drzewostanu.

Wydział krajowy, jako zarządzca fundacyi ś. p. Ignacego Marynowskiego, właściciela dóbr Kłodzienko w powiecie żółkiewskim położonych, rozpisuje niniejszem komertacyę ofertową w celu ryczałtowej sprzedaży drzewostanu na przestrzeni 58·96 ha. czyli 102·46 morgów za którą to, przestrzeń nie przyjmuje się poręki.

Mapę tej do wyrębu przeznaczonej przestrzeni można oglądać w godzinach urzędowych w Departamencie I. Wydziału krajowego. Przestrzeń ta jest na miejscu odgraniczona i wszystkim chęć kupienia mającym wolno oglądnąć wystawiony na sprzedaż drzewostan.

Cena minimalna, spłacalna w przeciągu trzech lat, w trzech ratach wynosi 201.000 koron. Czas wyrębu oznacza się do końca roku 1912. Szczegółowe warunki sprzedaży przeglądnąć można w godzinach urzędowych w Departamencie I. Wydziału krajowego.

Pisemne oferty zaopatrzone w wadyum w wysokości 20.000 koron (dwudziestu tysięcy koron) w książeczkach gal. Kasy oszczędności lub gal. Banku krajowego, albo też w papierach wartościowych, dających bezpieczeństwo pupilarne (wartość tychże liczy się wedle kursu, wszelakoż nie ponad wartość imienną) należy wnosić do Wydziału krajowego najpóźniej do dnia 15 go grudnia 1907.

W ofertach tych należy oświadczyć;

1) że oferent zna warunki szczegółowe sprzedaży i że się tym warunkom bezwarunkowo i bez zastrzeżeń poddaje;

2) że oferent zrzeka się ustawowego terminu do odpowiedzi i że jest związany swoją ofertą po dzień 31 grudnia 1907 włącznie.

Wydział krajowy zastrzega sobie wolność odrzucenia wszystkich ofert i swobodny wybór między ofertami bez względu na ofiarowaną sumę.

We Lwowie, dnia 5. listopada 1907.

*Piotrowski.*

---



Redaktor odpowiedzialny **Wacław Masłowski.**

Papier z fabryki Tow. akc. Braci Fiałkowskich.

Z drukarni E. Winiarza.